

Melchior Wańkowicz

SZTAFETA

Książka o polskim
pochodzie gospodarczym



fragmenty

Wybrał i wstępem opatrzył – Jan Koziar

Wrocław 2010

tylko w formie cyfrowej



Melchior Wańkowicz
1892 – 1974

**Gleba, która już raz wydała owoc
pewnego gatunku, na nowo
odzyskuje swą urodzajność
i ponownie wydaje plon podobny.**

Stanisław Szczepanowski

1. Wstęp

Melchior Wańkowicz jest postacią znaną. Znana jest również jego twórczość. Jest znana, za wyjątkiem jednego dzieła, które okazuje się dziełem dla Polski najważniejszym. Jest nim „Sztafeta – książka o polskim pochodzie gospodarczym”. Książka ta była wydana tuż przed wojną a pod rządami komunistów nie można jej było wznawiać. To jednak nie tłumaczy jej nieobecności w polskiej kulturze umysłowej. Od upadku komunizmu minęły dwie dekady a nieobecność ta utrzymuje się nadal i jest widoczna nawet na najwyższym poziomie naszego życia intelektualnego. Czytelnik może to łatwo sprawdzić przeglądając sam w Internecie omówienia życia i twórczości Wańkowicza. Omówień tych jest sporo, a w kilku z nich „Sztafeta” nie jest w ogóle wymieniana, w innych tylko wspomniana bez rozwijania tematu. Dla przykładu zamieszczam na końcu broszury dwa obszernie omówienia pomijające „Sztafetę”.

Co jest przyczyną takiego dziwnego stanu rzeczy?

Po prostu – jak sam tytuł wskazuje – książka dotyczy budowy polskiej gospodarki i budowniczych tejże gospodarki. Nie jest to niestety temat doceniany w naszej kulturze. Liczy się w niej przede wszystkim człowiek szabli i człowiek pióra – raczej pięknoduch, daleki od zagadnień praktycznych. Człowiek przemysłu, człowiek tworzący i organizujący gospodarke, to postać w naszej kulturze niedoceniana i mało rozumiana.

Swego czasu Stefan Bratkowski* wydobył na światło dzienne amputowane w naszych podręcznikach szkolnych części życiorysów znanych polskich powstańców, literatów i artystów, którzy wiele dla gospodarki zrobili, czy to w kraju czy zagranicą. O tym jednak z podręczników się nie dowiadujemy. Przy dotarciu do tych brakujących i jakże ważnych części życiorysów skłonni jesteśmy myśleć, że chodzi o jakieś inne osoby o takim samym nazwisku, co osoby nam znane. Bratkowski pisze, że ten okrojony stereotyp jest **„wpajany wszystkim Polakom przez połączone wysiłki nauczycieli polskiego i historii”**. *„Bez winy jednych i drugich”* – dodaje, bo oczywiście nie chodzi tu o jakieś celowe działanie a o przekazywanie w nauczaniu kolejnym pokoleniom utrwalonego wcześniej w naszej kulturze stereotypu.

Ale to tylko pierwsza i tradycyjna bariera stojąca między „Sztafetą” a polskim czytelnikiem. I nie najważniejsza, bo przecież poprzedzające „Sztafetę” reportaże Wańkowicza z budowy „COPu” odniosły przed wojną duży sukces. Druga poważniejsza, to dzisiejsze rozumienie ekonomii w Polsce ukształtowane przez ideologię neoliberalną. Według niej gospodarka tworzy się sama a jeżeli już ją ktoś ma tworzyć to najlepiej przedstawiciel obcego kapitału. To, co sami zbudowaliśmy wcześniej należy mu sprzedać albo zniszczyć. Obywatel zaś, o ile chce czynnie w ekonomii uczestniczyć, to powinien grać na giełdzie.

Tymczasem „Sztafeta” daje całkiem inny obraz gospodarki. Co więcej, jest to obraz prawdziwy gospodarki uprawianej od dawna przez wszystkie kraje rozwinięte. Obraz gospodarki wspomaganej racjonalnie przez państwo, gospodarki nastawionej na utrzy-

* Stefan Bratkowski „Skąd przychodzimy?”, Iskry 1978, BGW 1993.

manie i rozwój kapitału rodzimego. Kontrast tego obrazu z gospodarką polską ostatnich dwu dekad i jej ideowym zapleczem jest niemniejszy niż kontrast z komunistyczną gospodarką totalnego planowania i upaństwowienia. Nic dziwnego zatem, że o „Sztafecie” Melchiora Wańkowicza dalej nic nie wiemy.

Ten stan rzeczy powinien jednak ulec zmianie, jeżeli nie godzimy się na postępującą degradację Polski w świecie współczesnym. „Sztafeta” powinna stać się „Biblią gospodarczą” każdego polskiego działacza gospodarczego. Ale to mało. Ażeby fundamentalna dla dobra naszego kraju treść „Sztafety” mogła skutecznie zadomowić się w świadomości naszych elit, to powinna się znaleźć w naszych programach szkolnych. I to zarówno w programie języka polskiego, bo „Sztafeta” jest pierwszorzędym dziełem literatury polskiej, jak i w programie historii, bo jest świetnym wykładem historii gospodarczej naszego kraju. Powinni się też z nią zapoznać dziennikarze, zwłaszcza telewizyjni, jako że mają oni dzisiaj największy wpływ na kształtowanie mentalności ogółu mieszkańców Polski.

Warto nadmienić, że najważniejsza w kraju szkoła dziennikarstwa, czyli Wyższa Szkoła Dziennikarstwa w Warszawie, nosi imię Melchiora Wańkowicza. To zobowiązuje. A zobowiązuje głównie dziennikarska służba prawdzie i dobru naszego kraju.

Próby przybliżenia „Sztafety” w ostatnim dwudziestoleciu miały miejsce. Dzięki staraniom profesora Włodzimierza Bojarskiego ukazał się w 2000 roku w niewielkim nakładzie reprint tej książki*. W następnym roku piszący te słowa przekazywał do druku w Naszym Dzienniku wybrane fragmenty „Sztafety” (ze śródtytułami dostosowanymi do edycji gazetowej), posługując się jej oryginałem zdobytym dużo wcześniej w antykwariacie.

W 2003 roku wydałem we Wrocławiu broszurę zatytułowaną **„Nie ma gospodarki bez polityki gospodarczej państwa. Na marginesie ‘Sztafety’ Melchiora Wańkowicza”**. W broszurze tej w nawiązaniu do „Sztafety” (jak sam tytuł wskazuje) przedstawiłem w zarysie rozwój przodujących w świecie gospodarek od początków merkantylnizmu w XVI wieku do czasów współczesnych. Wszystkie rozwijały się zgodnie z duchem „Sztafety” a nie z duchem, eksportowanego do krajów słabszych ekonomicznie, skrajnego liberalizmu gospodarczego. Liberalizm taki wcale nie służył ani nie służy rozwojowi gospodarki własnej eksportera tej idei a służy opanowywaniu przez niego cudzych gospodarek. W roku 2009 wydałem tę broszurę w formie cyfrowej. Dostępna jest pod adresem:

www.rossakiewicz.pl/demokracja/pliki/koziar-polityka-gosp.pdf

Można ją sobie wydrukować i można dalej kolportować elektronicznie.

Obecnie zaczynają być wydawane „Dzieła Zebrane” Melchiora Wańkowicza przez wydawnictwo „Prószyński i S-ka”. Tomem pierwszym jest „Monte Cassino”, „Sztafeta” jest tomem ostatnim (szesnastym). Jeżeli przy następnych edycjach „Dzieł”, tom ten zmniejszy swój numer porządkowy, to będzie to miarą naszego zbliżania się do gospodarczej czołówki Europy. Do charakterystyki tego, ostatniego obecnie, tomu „Dzieł Zebranych” Wańkowicza wykorzystano w Internecie (www.gandalf.com.pl/b/sztafeta) fragment wprowadzenia do mojej, wspomnianej wyżej broszury „Nie ma gospodarki...”.

Niniejsza broszura to zbiór fragmentów „Sztafety” przekazywanych przeze mnie do

* Wyd. SIGMA – NOT

„Naszego Dziennika” w 2001 roku. Są one wypisami z tych części książki, które dotyczą okresu międzywojennego. Cała „Sztafeta” liczy ponad 500 stron, prezentowane wypisy tylko (xx) stron, co pozwala w sposób szybki zapoznać się z kwintesencją i duchem książki a jednocześnie powinno zachęcić do przeczytania jej w całości.

Do pełniejszego naświetlenia genezy i treści „Sztafety” wykorzystuję w dalszej kolejności część wprowadzenia do swojej broszury „Nie ma gospodarki ...”, zamieszczonego pod podanym wyżej adresem a zatytułowanego „Zaczęło się od reportażu z budowy COPu”.

Jan Kozia
Wrocław, maj 2010

2. Zaczęło się od reportaży z budowy „COPu”

W 1936 roku pod kierunkiem wicepremiera i ministra przemysłu w jednej osobie, Eugeniusza Kwiatkowskiego, opracowano czteroletni program inwestycyjny. Program ten obejmował plan budowy COPu (Centralnego Okręgu Przemysłowego). Punkt centralny obszaru objętego planem, leżał u zbiegu Sanu i Wisły tworząc z Sandomierza jego stolicę. Promień obszaru - okręgu wynosił około 100 km. W następnym roku budowa COPu ruszyła pełną parą.

Sprawy gospodarcze nigdy nie były ulubionym tematem polskich ludzi pióra. Tym razem jednak do akcji ruszył Melchior Wańkowicz, publikując w prasie szereg reportaży z realizacji nowych polskich inwestycji. Były to pierwsze w historii Polski reportaże przemysłowe i zyskały one szeroki oddźwięk wśród czytelników. *„Rasa pisarza, jego temperament, duma narodowa, optymizm – szczerością tchnący – stworzył nowy polski typ reportażu przemysłowego”* – pisał komentator z „Kurieru Warszawskiego” (19. I. 1938).

Popularność reportaży skłoniła autora do wydania ich łącznie w formie broszury zatytułowanej „COP”. Błyskawiczne rozejście się jej trzech wydań i propozycja publikowania wydania czwartego, skłoniły Wańkowicza do szerszego potraktowania tematu. Tak zrodziła się licząca 520 stron: „Sztafeta – książka o polskim pochodzie gospodarczym”, wydana w 1939 roku.

Sukces broszury wskazywał *„jak spragniony był czytelnik wiadomości o polskiej planowej pracy”* – pisze autor we wstępie do „Sztafety”.

Nowa książka to już nie tylko zbiór reportaży z budowy COPu. Opisane są też w niej inne osiągnięcia ekonomiczne II Rzeczypospolitej – np. sprawne uruchomienie przejętych od Niemców chorzowskich „Azotów”, budowa Gdyni, utworzenie polskiej floty. Autor nawiązuje do planowej budowy polskiego przemysłu w czasach stanisławowskich i porozbiorowych. W książce pojawiają się ważne treści socjologiczne i filozoficzne.

Melchior Wańkowicz komentuje w „Sztafecie” gospodarczy rozwój Polski w wymiarze historycznym, patrząc jednocześnie w przyszłość – stąd właśnie „sztafeta”. Autor wyróżnia jednak w historii Polski dwie sztafety *„prąd malejący – utracjuszostwa, i narastający – skrzętnej pracy”*. Symbolem pierwszej jest Ossoliński gubiący w Rzymie złote podkowy (i w ogóle cała siedemnastowieczna Polska, łącznie z epoką saską), symbolem drugiej sztafety są Staszic i Drucki – Lubecki z czasów Królestwa Polskiego.

Zwrot w kierunku gospodarczego dźwignięcia Polski dokonał się jednak wcześniej, w czasach Stanisława Augusta a jego najbardziej spektakularnym przejawem były manufaktury budowane przez podskarbiego litewskiego Tyzenhauusa.

To, który kierunek przeważa jest kwestią kultury umysłowej, która warunkuje procesy ekonomiczne (i nie tylko te procesy) a nie odwrotnie, jak utrzymuje marksizm i ekonomiczny liberalizm.

Jest to zgodne z odróżnianiem przez znanego socjologa Maxa Webera kapitalizmu

racjonalnego, opartego na odpowiedniej gospodarczej kulturze umysłowej (psychice gospodarczej narodu – używając słów Wańkowicza) od opartego głównie na żądzy zysku, samoniszczącego się kapitalizmu irracjonalnego. Ten drugi typ kapitalizmu liberałowie propagują jako wersję jedynie słuszną.

Wańkowicz podaje kapitalną ilustrację obu typów kapitalizmu na przykładzie Holandii i (niestety) dawnej Polski*.

Kiedy zaistniała pierwsza wielka koniunktura gospodarcza, po odkryciu Ameryki, kiedy ceny ziemiopłodów poszły wielkimi skokami w górę – zobaczmy, jak tę koniunkturę wykorzystano na świecie i jak u nas.

W Holandii powstały potężne zakłady, przerabiające produkty zamorskie – cukrownie, drogerie, gorzelnie, fabryki tytoniu, szlifiernie drogich kamieni. Fabryki sukna w Lejdzie, płótna w Haarlemie, ceramiki w Delft produkują na cały świat. Powstają wielkie sieci kanałów, którymi krążą barki ciągnięte przez konie. Bank Amsterdamski reguluje kurs weksli po całym świecie (...)

W tej samej epoce rozkrzewia się w Polsce niepomierny zbytek. „Guzy, łańcuchy, manele, guziki srebrne, złote i drogimi kamieniami wysadzone. Dygnitarz nosił na sobie nieraz całe wsi” – pisze Aleksander Brückner. Nie było dla szlachty dosyć drogich zamorskich korzeni, dosyć wykwinnych małmazj, dosyć najstarszych węgrzynów, najwspanialszych kobierców, najcudacznieszych na wagę złota driakwi, najsuciej ornamentowanej broni, najcenniejszych kryształów tłuczonych o lekkomyślne łby.

Zwraca też uwagę Wańkowicz na alarmujące przeżytki dawnego utracjuszowstwa w Polsce międzywojennej i martwi się, by nowym kapitalistom nie zachciało się Rivieri.

Z historycznych wycieczek czynionych przez autora widać jasno, że u podstaw polskich sukcesów ekonomicznych nie tkwiła bezładna krzątanina pojedynczych osób, czy nawet grup, skoncentrowanych wyłącznie na własnym zysku. Odwrotnie, taki mechanizm zgubił swego czasu Polskę. Natomiast sukcesy wynikały z dalekosiężnych, planowych działań elit opartych na głębszej motywacji. Dopiero w ramach wykreowanego przez nie systemu, szary człowiek może krzątać się skutecznie, przy czym jego kultura umysłowa też nie pozostaje bez znaczenia

Głębszą motywacją naszych elit (jak w wielu innych krajach) był po prostu patriotyzm. Jednakże w XIX wieku dopracowaliśmy się własnej intelektualnej bazy skutecznego działania w postaci polskiej filozofii czynu, łączącej romantyczną motywację z praktycznym, konsekwentnym działaniem. Kierowało się nią wielu polskich wybitnych działaczy gospodarczych i przemysłowców, wśród nich Hipolit Cegielski i Stanisław Szczepanowski. Ten ostatni do rozwoju naszej filozofii czynu znacznie się przyczynił i jeszcze przed Weberem zakwestionował liberalno - marksistowskie rozumienie kapitalizmu pisząc:****

Nie ma pospolitszej i grubszej myłki jak ta, która przypuszcza, że rozwój sił ekonomicznych jest wyłącznie wpływem egoizmu, łakomstwa i chciwości. (...) Chciwość i łakomstwo mogą prowadzić do lichwy, do gry giełdowej, do stolika z kartami, do polowania za posagami, za

*** str. 236-7

**** Stanisław Szczepanowski, *Walka narodu polskiego o byt*, Londyn 1942, str. 87

synekurami, do sprzedawania nazwiska na parawan brudnych interesów, ale przenigdy do rozwoju ekonomicznego (...) Rozwój ekonomiczny nigdzie na świecie jeszcze się nie pojawił bez współudziału przynajmniej rzetelności, uczciwości, pracowitości i umiejętności (...)

Działalność pisarska Szczepanowskiego przyczyniła się do wychowania nowych elit i to tych, które budowały już II Rzeczpospolitą. Wańkowicz wspomina, że na kółkach samokształceniowych, w których sam uczestniczył, autor ten był na głos czytany. Cytat z dzieł Szczepanowskiego stał się też mottem „Sztafety”:

Gleba, która raz już wydała owoc pewnego gatunku, na nowo odzyskuje swą urodzajność i ponownie wydaje plon podobny.

Wspomnieliśmy już, że głęboka motywacja elit musi iść w parze z dalekosiężnym planowaniem i oczywiście z jego realizacją. **W odniesieniu do gospodarki i w warunkach posiadania własnej państwowości oznacza to politykę gospodarczą państwa.** Wańkowicz pisze, że sprawy „*które już Ludwik XIV nazwał pracą kierowaną (...) w naszych czasach muszą być kierowane stokroć bardziej.*”

Patrząc w przyszłość autor pisze we wstępie: *Jutro już ta sztafeta będzie dalej niż książka, pojutrze jeszcze dalej. Przecież w świadomości naszej musi się złożyć szlak pędu, jego linia. Byśmy wiedzieli, że nie na nas się poczyną i nie na nas się kończy. Byśmy czerpali stąd pokorę. I siłę ...*

Niestety, niedługo po ukazaniu się jego książki przyszła wojna a po niej prawie pół wieku komunizmu, gdzie w ramach komunistycznej polityki gospodarczej, polski świat przemysłu starał się kontynuować polską sztafetę gospodarczą.

W początkowym okresie PRL-u robili to siłą rzeczy fachowcy przedwojenni, których w żaden sposób z komunizmem utożsamiać nie można. Odnosi się to również do większości fachowców późniejszych. Mimo przeszkód ustrojowych udało się zbudować sporo. Niestety stosowanie przez komunistów patologicznej wersji planowania doprowadziło do bezmyślnego utożsamiania samej zasady planowania gospodarczego z komunizmem. Utożsamiono z nim również budowany w okresie powojennym przemysł.

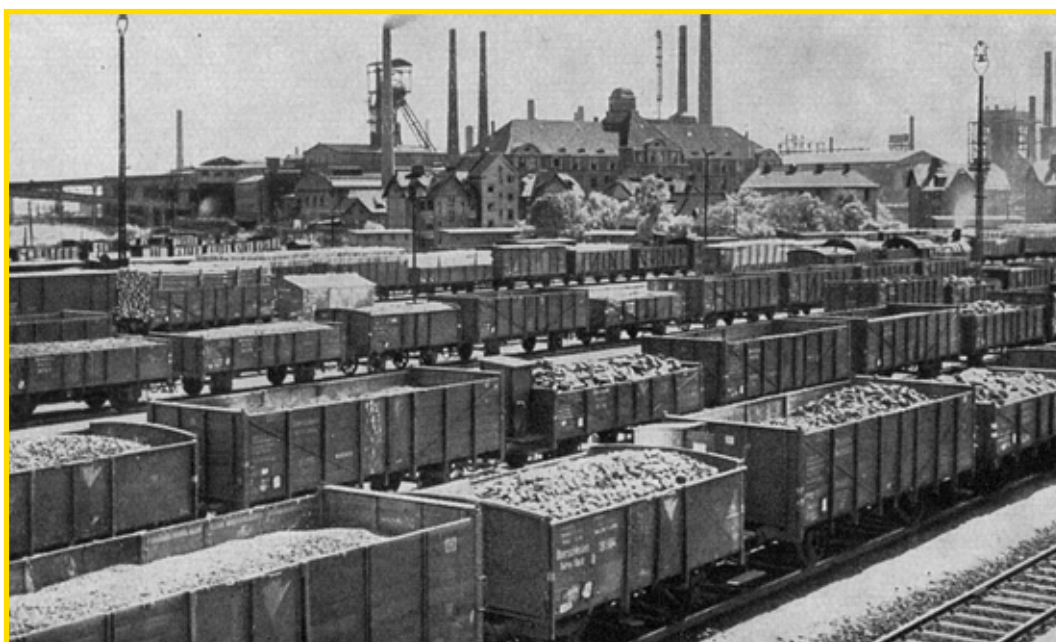
Ta wybitnie szkodliwa, bezmyślna zbitka pojęciowa wzmocniona neoliberalną propagandą, za którą stoją niepolskie interesy, w sposób decydujący wpłynęła na zniszczenie polskiej gospodarki w dekadzie transformacji ustrojowej.

Jan Kozia
Wrocław 2003

3. Państwo wspomaga eksport węgla *

Nadmiar węgla

Przed wojną [*I światową*] mieliśmy trzy zagłębia w trzech państwach. Razem produkowały około 40 milionów ton. Wprawdzie w roku szczytowym 1929 wydobyliśmy 46 milionów ton, ale jeśli weźmiemy wzrost ludności i przemysłu wojennego, to musimy sobie powiedzieć, że nigdyśmy do przedwojennej normy nie doszli.



Górnicy Śląsk, lata trzydzieste (internet)

Bo też przed wojną Śląskie Zagłębie zaopatrywało całe Niemcy – bo węgiel niemiecki szedł dla marynarki, za morza i do kolonij.

Bo Zagłębie Sosnowieckie zaopatrywało Podole i Ukrainę, których nie mógł obsłużyć węgiel Doniecki, świetny dla celów przemysłowych, ale nie nadający się na opał.

Bo Zagłębie Krakowskie znajdowało zbyt dla swego mniej wartościowego węgla na kolejach Austrii, która nie posiadała innych kopalń.

To wszystko po wojnie zmieniło się. Przy produkcji 40 milionów ton, przy konsumpcji 18 milionów – cóż mieliśmy robić z tym ludem górniczym, który w powstaniach szedł za Polską? Czyż mieliśmy dać zmarnieć najbogatszemu krajowi Polski?

Czy zrzekać się eksportu?

Czyż mieliśmy zrzec się ambicji dania swego węgla obcym tylko dlatego, że przez sto pięćdziesiąt lat Polski nie było na świecie i rynki pozajmowali inni?

Poczyna się walka – jedna z najbardziej dramatycznych. Do r. 1925 doprowadzamy

* W oryginale tytuł: „Polski Dawid i angielski Goliat”

inwestycje w kopalniach do odpowiedniego poziomu, ale w tym jeszcze roku nie eksportujemy więcej, niż pół miliona ton.

Strajk angielskich górników

Przychodzi strajk węglowy w Anglii – w kraju najpotężniejszej produkcji węgla, który zalewa rynki skandynawskie.

Okoliczność jest wymarzona, ale jakże trudno nam dźwignąć się do tej koniunktury z naszego nędzarskiego łoża!... Gdynia jest nie zbudowana jeszcze, a Gdańsk, marniejący pod rządami niemieckimi – przestarzały. Kolej idzie okrężnie (wówczas nie zbudowaliśmy jeszcze magistrali węglowej), nie ma bocznicy, nie ma taboru; wypożyczamy węglarki od Czech, od Niemiec. Nie mamy też taboru morskiego (obecnie już pływa osiem najnowocześniejszych statków węglowych „Roburu”). Nie mamy rozbudowanych stosunków handlowych, kredytowych. Nie mamy przystosowanego aparatu wydobywania węgla; nie możemy podjąć się dostawy na określone terminy, w określonej jakości (obecnie już węgiel polski jest lepiej sortowany, niż angielski).

Przeciw temu Dawidowi polskiemu stoi Goliat Wielkiej Brytanii.

Ten Goliat jest chwilowo unieruchomiony.

Polski rząd w akcji

Penetrujemy do Danii, do Szwecji, do Norwegii, do Finlandii. Nawiązujemy kontakty, handlujemy z piątku na sobotę pośpiesznie jak się da, co chwycimy to wieziemy; coraz pełniej, coraz więcej wszędzie węgla polskiego.

Krzywią się businessmanky skandynawsko-bałtyckie na tego intruza polskiego, który wnosi dysharmonię do tych stosunków handlowych ustalonych latami. W handlu równie jak w heraldyce znaczą rodowody a kto zaczął, a kto go rodzi... Po tej wojnie znalazło tylu nuworyszów, plebejów, którzy coraz to zaskakują poważne domy handlowe, a tu na dobytek całkiem nowy plebejski kraj, który, że zacytuje Fabierkiewicza, „swymi nieobliczalnymi odruchami i swą polityką sporów i kłótni z sąsiadami utrudnia jeszcze bardziej i tak utrudnione nawiązywanie i przeprowadzanie operacji handlowych i finansowych w tej części Europy”.

Po strajku

Toteż, kiedy strajk angielski się skończył, uważano, że polski murzyn spełnił swoją powinność i może odejść.

Kiedy jednak ten polski murzyn zgłaszał dalsze pretensje, królowie węglowi w Londynie i stojący za nimi mężowie stanu nie posiadali się z oburzenia.

Obcowanie z powojennymi intruzami tak psuło ich dostojałość, że poniektóry w prywatnych rozmowach mówił: „Czyście panowie oszaleli z waszymi pretensjami do eksportu? Jesteście chwilowi koniunkturaliści...” Tak mówił Albion jeszcze w 1932 r. „Przepraszamy, żeśmy się urodzili...” – i pchaliśmy nowe transporty węgla. Pchaliśmy

za wszelką cenę: Anglicy sprzedają po 12 szylingów tonę, my po 10 (obecnie, kiedyśmy z honorem wojnę wygrali, sprzedajemy dwukrotnie drożej).

Polskie kopalnie lepsze

Kręcił się, stękał angielski Goliat, ale myślał, że jakoś to wszystko obleci. Nie zanosilo się jednak na to. Prawda, że Anglicy mieli organizację transportową i kredytową, że ich kopalnie z reguły leżały blisko morza (przecież najdalszy punkt śródlądowy Anglii leży



Górnik przy pracy. Wiercenie otworu strzałowego.

w odległości 120 km od morza), zawsze nad jakąś spławną rzeką, że mają i takie kopalnie, z których węgiel wprost z szybu płynie taśmą ruchomą na okręt. Ale kopalnie ich były niesłychanie zacofane, kiedy my już w naszych stworzyliśmy doskonałą organizację wydobycia (spójrzcie na te rozgałęzienia torów w podziemiach, na te stacje węzłowe podziemnych kolejek), nadto u nas producenci byli zorganizowani w dwóch organizacjach (obecnie w jednej), kiedy tam gardłowały 22 kopalnie konkurujące ze sobą, nie zespolone żadnym porozumieniem.

Zresztą – co tu mówić: byliśmy młodszy i biedniejsi. Angielski eksport stanowił 20% ich doborcia, nasz – 50% naszego doborcia (z czego 35% droga morską). Musieliśmy więc być prężniejsi.

Dewaluacja funta

Wtedy nas ugodził w 1931 roku angielski Goliat spadkiem funta. Automatycznie jego węgiel staniał. My odpowiadamy stworzeniem pięciomilionowego funduszu wyrównawczego. Znowu nadrobiliśmy swój spadek eksportu.

Polski węgiel obnaża angielski „liberalizm”

„Ocecił przeciwnika zręczność Maciek stary i lewą ręką włożył na nos okulary”. Począł się już frasować Albion tym nieznosnym polskim węglem. Zdecydował, że trzeba zerwać ze wspaniałą tradycją liberalistyczną i zrobić nam porządne świństwo; ustanowił kontyngenty. Zagroził, że nie będzie od Szwedów, od Norwegów, od Finnów, od Duńczyków nic kupował, jeśli oni nie nabędą tyle i tyle angielskiego węgla.

Nic by nie pomogło wstydzić angielskiego dziedzica, że „a pfe, a nie wypada...” Business is business.

Rząd walczy dalej

Rozpoczynają się mozolne układy, które idą jak z kamienia. My tam jeździmy, zjadamy „chopp of mutton” na Strandzie i wracamy. Oni do nas przyjeżdżają, wozimy ich na raki do Wilanowa, dajemy im zajaca w śmietanie i flaki i bigos i „fotka fyboroffa”, powiadają „yes!” i wracają do siebie. I nic.

Ale przecież polska robocizna jest tańsza, ale przecież magistrala węglowa powstała, przeładunek w Gdyni jest „up to date”, ale przecież działa nasza wola zwycięstwa. Kraje Skandynawskie zerkają obłesnie na pięknie sortowany, doskonale dostawiany, tani i wartościowy polski węgiel i jakoś to nijako trzymać je wyłącznie w kagańcu kontyngentowych zakazów.

Wreszcie w pewnej chwili 1934 r. – jest to za ministrowania p. Rajchmana – przychodzi na Polaków kolejka spożycia „chopp of mutton”. Mówi sobie nasza delegacja:

„Pojedziemy do tych angielszczyków z fajerwerkiem”.

Pogadali z naszymi węglarzami. „Tak jest – powiadają węglarze – zrobi się...”

Z węglem do Anglii

I kiedy nasza delegacja wjeżdżała do Londynu – na Tamizie już stały i dymiły dwa polskie statki naładowane węglem. Ten węgiel wrzepiliśmy jakiejś papierni. To się nazywa świństwo drobne, ale dotkliwe.

Gwałt powstał w całej prasie angielskiej niebywały... Dawid polski ośmielił się zawędrować ze swymi stateczkami w samą paszczę Londynu, przywozi sowy do Aten, węgiel na Wyspę Wielkiej Brytanii! Niebywała bezczelność! „Jakiś tam węgiel polski” – pisze zgorziona prasa.

Pertraktacje idą jak z kamienia. Minister Rajchman telefonuje dwa razy dziennie. Za każdym razem dowiaduje się, że nic nie postąpiło. „Powiedz im pan, żeby...”

Na następny dzień o godzinie piątej rano budzi telefon naszego delegata w hotelu. Dzwoni minister Rajchman:

– Co pan robi?

– Co mam robić? Śpię...

– Lepiej jednak niech pan im dosłownie nie powtarza tego, co wczoraj panu poleciłem zakomunikować.

– A pan minister myślał, że ja akurat polecę im to powtarzać ?

– No, to trzymajcie się.

Dobrze to było mówić, ale trudno robić. Nadszedł taki dzień, kiedy melancholijnie spożyto ostatnie „chopp of mutton” i walizy powędrowały na stację.

Zwycięstwo

Wówczas rozległ się dzwonek telefonu.

Co panowie robicie ?

– „Wyjeżdżamy...

– Rozmówcie się jeszcze raz...

I wówczas podano sobie ręce.

Odtąd trwa porozumienie węglowe angielsko-polskie, Teraz z kolei brużdżą z cenami Niemcy, z którymi Anglia ma rozgrywki węglowe na dalekich rynkach zamorskich.

W 1937 r. porozumienie polsko-angielskie zostało jeszcze zacieśnione.

Weszliśmy na rynek światowy i mamy swoje miejsce.

*Nasz Dziennik, 19 stycznia 2001
p.t.: ” Polski Dawid i angielski Goliat
czyli jak przedwojenna Polska
radziła sobie z nadprodukcją węgla ”*

4. Przejęcie chorzowskich „Azotów” *

Śląsk po powstaniach

Jest 15 czerwca 1922 r. Objęliśmy bezapelacyjnie Górny Śląsk. Cały ten kraj dymi jeszcze po trzech powstaniach, jest zamałcony do głębi. Ileż rzucono obietnic, ile pogroźek z tej i tamtej strony. Ileż szantażowano zwycięskie mocarstwa, że Polska zaprzepaści tę bogatą ziemię, ten skomplikowany mechanizm przemysłowy.

Jeden Europejczyk wielkiej miary – późniejszy Prezydent Narutowicz – prowadzi Ministerstwo Robót Publicznych. Teraz, kiedy „gwery” poszły w kąt, wie, że pocznie się o tę ziemię jeszcze straszliwszy bój – bój mózgów.

Chorzów

Ot, choćby ten Chorzów... Co dopiero, już w czasie wojny, przez Niemców pobudowany, potworny kompleks skomplikowanej aparatury, kilkaset tysięcy metrów kwadratowych pokrytych dachami. Produkcja, która niedawno jeszcze nie opuszczała laboratoriów, którą dopiero w 1905 roku Polzeniusz wyprowadził w stadium pełno-techniczne, którą we Fryburgu Mościcki...

Ignacy Mościcki

Mościcki... Prawda... Wprawdzie ten tam azot, to nie jest resort Narutowicza, ale pamięta Mościckiego ze Szwajcarii, w której obaj dokonywali swoich wielkich prac technicznych.

Biegnie do Ministra Przemysłu i Handlu Ossowskiego. Naturalnie! Natychmiast telefonować do Lwowa.

Bo to już we Lwowie zastała prof. Mościckiego wojna.

Na dwa lata przed jej wybuchem porzuca Szwajcarię. Świetnie urządzone laboratorium, w którym, wydał 700.000 złotych franków na eksperymenty laboratoryjne.

Obejmuje profesurę we Lwowie, zrzekając się gaży czterokrotnie większej, zrzekając się możliwości, które mu dawały kontakty z wielkim przemysłem europejskim.

Kiedy pytałem Pana Prezydenta, czy nie ciężko mu było powziąć taką decyzję, odparł z żywością:

– Mierziło mnie to, że finansiści rwą z ręki każdy wynalazek, nie odczekując jego ostatecznego wyeksperymentowania. Męczyła mnie ta pogoń za groszem, która mnie otaczała. Przestały mnie radować powodzenia. Bałem się, że powtórzy się po raz drugi historia londyńska.

– To znaczy?...

– To znaczy tak silna nostalgia za krajem, że wie pan, co mnie uratowało? – Stolarka.

* W oryginale brak wydzielonego tytułu

Owego dnia, kiedy podchodził do dzwoniącego z Warszawy telefonu profesor elek-trochemii technicznej na Politechnice Lwowskiej, Ignacy Mościcki, był więc już wżyty w te tu sprawy, założył „Metan” – uruchomił fabrykę w Jaworznie.

Cudze tematy

Ale Chorzów? Zbudowany na metodach i patentach niemieckich? Mówi w telefon z zakłopotaniem:

– Ja na cudzych tematach nigdy nie pracowałem.

Telefon Warszawa – Lwów, to nie jest wówczas żaden kabel, wygodnie izolowany w ziemię. Przez zgrzyty i tiki, szумы i świsty minister Ossowski ani myśli zastanawiać się nad takimi subtelnościami. Przez słuchawkę drążą się, powtarzają się uparcie ciągle te same słowa:

– Trzeba... Natychmiast... Koniecznie...

3 lipca 1922 r. zajeżdża pod pawilon główny Zakładów Chorzowskich auto, którym inż. Rudowski, naczelnik Wydziału Przemysłowego Województwa Śląskiego (tak, już jest Województwo, a on poszedł na urzędnika z dużej gaży w przemyśle w Sosnowcu) przywozi mianowanego przez rząd polski dyrektora.

Zmiana dyrektorów

Dyrektor naczelny, niemiecki Żyd, sam nie wie, czy się ma cieszyć, czy smucić. Śląsk robotniczy po plebiscycie, to nie wystygła jeszcze lawa. Dyrektor chętnie by czmychnął do Republiki Wejmarskiej. Ale nad zakładem wisi groźny cień dyscypliny niemieckiej. Co też powie jej wyobraziciel, Herr Gehaimrath dr Caro.

Dr Caro jest na urlopie w Karlsbadzie. Idą do niego depesze, a tymczasem z punktu zasiada dyrektor Mościcki za biurkiem dyrektorskim. Jak cienie przesuwają; się inżynierowie i majstrowie niemieccy. Wszystko pozostaje na swoich stanowiskach, ale nikt nie kwapi się z pomocą, z inicjatywą.

– Jawohl, Herr Direktor... i tyle. W powietrzu wisi nastrój włoskiego strajku. Jakoś ten stan pęknąć musi.

Profesor Mościcki przywiózł ze sobą kilku swoich uczniów. Chodzą chłopaki, pukają po armaturach, zwiedzają wszystkie zakątki tego olbrzymiego azotowego państwa. Siłują się z nim w sobie i w swoim zrozumieniu. Olbrzymie turbiny i generatory elektryczne, setki elektromotorów w ruchu, morze budynków i dachów, ogłuszające młyny karbidowe i azotniakowe, setki jeżdżących kranów i transporterów, potężne ciśnienia, ekstremy najwyższych i najniższych temperatur – wszystko to zlewało się w przytłaczający ich obraz.



Na trzeci dzień – jak ręką uciął: stu dziewięćdziesięciu sześciu Niemców: inżynierów, techników, chemików, konstruktorów, werkmistrzów, majstrów, urzędników handlowych i organizacyjnych – opuściło fabrykę.

Po opustoszałych biurkach odnaleziono korespondencję Herr Geheimratha, Dr Caro.

– Czy Polacy daliby sobie radę, gdyby niemiecki personel się wycofał?

– Ausgeschlossen – brzmiała pewna siebie odpowiedź niemieckiego zarządu Chorzowa.

Na skutek tego – Herr Geheimrath dał całemu personelowi technicznemu kontrakty, polepszające ich warunki, ale zobowiązujące na każde wezwanie zarządu do objęcia stanowisk w innych zakładach w Niemczech pod groźbą grubych penali. No i w ten sposób pozostał jeno magazynier Polak.

Archiwum doświadczeń Niemcy zostawili puste. Metoda Dra Franca Caro znana była prof. Mościckiemu tylko teoretycznie. Przecież natychmiast obsadził działy swymi inżynierami, a nawet zaawansowanymi uczniami i ruszono z pomocą Bożą.

Tymczasem cały niemiecki ex-zarząd siedzi w Bytomiu, po tamtej stronie, o kilka kilometrów od granicy i czeka efektu.

Poszły na tamtą stronę wagony Chorzowskie po surowiec, wapno palone... Nie tylko surowca nie dali, ale skonfiskowali wagony.

Jakże tu pracować bez surowca? Na gwałt zorganizowano dostawę po całej Polsce. Potrzebne są ogromne ilości. Uruchomiono szereg wapienników.

Ruszyliśmy!...



Wjazd do Katowic. Gen Szeptycki przyjmuje symboliczny miecz.

Sabotaż

Wówczas nadchodzi z Berlina list od Pana Geheimratha Doktora Caro. List, tytułowany per „Herr College” jest wzorem słodyczy, życzliwości i koleżeństwa. Pan Geheimrath, śnać nic nie wiedząc o wykryciu jego korespondencji z zarządem, ostrzega życzliwie i po

koleżeńsku kochanego kolegę przed niebezpieczeństwami, jakie bierze kochany kolega na swoją odpowiedzialność, poucza, jaki to subtelny aparat ten zespół maszyn Chorzowskich, jak, bez dużego doświadczenia, łatwo w nim o wypadki, o nieszczęścia, o eksplozje...

Mróz przeszedł przez polskie ręce trzymające ów życzliwy kwadratowy papier. Aha! – będą akcje sabotażu. Dawna dyrekcja wciąż myśli, że się ją zaprosi do współpracy; skoro skonstatowali, że uruchomiliśmy zakłady własnymi siłami, skoro nie wygłodziło nas odcięcie od surowców, schwycą się ostatniego sposobu...

Zwiększono ilość straży, rozstawiono po wszystkich zakamarkach, pilnują w dzień i w noc.

Ale jakże tu upilnować ten tłum ludzki, buzujący się w nowych, nieznanych warunkach. Wielu z nich nie uważa się za Polaków; wielu mieszka po tamtej stronie, niemieckiej. Jakże tu znaleźć ogniska sabotażu? Upilnujże tu tę dżunglę pawilonów i budynków.

I oto naraz w pierwszym piecu karbidowym, piecu olbrzymim zatrzymuje się motor wentylatora. Rzucono się do wentylatora rezerwowego – pełno w nim piasku, również nic może ruszyć. Okazuje się, że w wentylach pierwszego wentylatora również znalazł się piasek.

W ogóle, piasek poczyną się znajdować wszędzie. W tłokach i w wentylach, w trybach i mutrach, w rurkach przewodowych, w panewkach, na taśmach i konwojerach, w smarownicach – wszędzie zgrzyta, wszędzie hamuje, wszystko zanieczyszcza i niszczy – piasek.

W transformatorze następuje krótkie spięcie; po zbadaniu okazuje się, że ktoś pomiędzy biegunami położył sztabę miedzianą. Udał się im też wybuch w młynach karbidowych. Ofiar na szczęście w ludziach nie ma – tymczasem.

Patrzą spod oka robociarze na „Polnische Wirtschaft” i czekają, co to z tego będzie.

Nad wszystkim nominowało zagadnienie, jak prędko nabiorą oni wiary do polskiego technicznego kierownictwa.

To kierownictwo objęło te same funkcje, co poprzednie, kierowało fabryką, rządziło, ale robotnik czekał na rezultaty. Można by powiedzieć, że uważają polski zarząd za „trutówkę”.

Trutówka pojawia się w ulu, kiedy zginie królowa-matka. Ta samozwańcza robotnica ma równie duży odwłok jak królowa, wszystkie jej pozory, rój się zwodzi i w żaden sposób nowej królowej nie przyjmie. Tymczasem czeka go zguba. Bo „trutówka”, łże-królowa rodzi jedynie trutnie.

Robotnicy nie mają wiary, aby z tej pracy nowego zarządu powstało coś produktywnego.

Kontrola robotnicza

Zbiera prof. Moscicki masówkę. Szumi morze kaszkietów robotniczych. Uprzytamnia im, jak ciemne siły zniszczyć pragną warsztat, który ich żywi, narazić chcą na ślepotę i kalectwo ich samych.

Dopieroż – zagotowało się... Przez tłum idzie głuchy pomruk, rośnie w krzyk:

– Do pieca pieronów!...

Piece karbidowe wówczas jeszcze nie były zasklepione. Obwód to ognia strasznego, zionący żarem, piekło samo tak nie wygląda.

Już teraz na każdym załomku korytarza warują robotnicze oczy. Piasek jak ręką zdjęło, i te dwa tygodnie trwogi niezmiernej odpłynęły w przeszłość. Przyszłość sunęła nowe grozy.

Niewiara

„Niewiara poczyną się wciskać w nasze szeregi – pisze późniejszy twórca Mościc, inż. Kwiatkowski.

„Rząd nie wierzył w możliwość technicznego, a jeszcze bardziej ekonomicznego Chorzowa; nie wierzyli nasi koledzy, technicy i inżynierowie polscy, i przepowiadali nam rychły upadek fabryki; nie wierzyli rolnicy w możliwość konsumpcji azotniaku w Polsce; nie wierzyły nam banki polskie, że zwrócimy pieniądze pożyczone na ruch fabryki”.

Gdzież zbywać produkcję? Dla azotniaku, jedyne wówczas produktu fabryki Chorzowskiej, zamknięto dotychczasowy rynek zbytu, tj. Niemcy. Polskie rolnictwo, poza ziemiami b. zaboru pruskiego, nie znało tego nawozu.

Wówczas uruchomiono wielką propagandę. Z czasem doprowadziła ona do uruchomienia po kraju 1.300 punktów sprzedaży. Z czasem założone pismo „Plon” doszło w 1938 r. do 220.000 płatnej prenumeraty.

Czekajmy, jaki to da rezultat, a tymczasem zajrzyjmy do tego, co się robi dalej w Chorzowie. Stanęli do pracy w nim najtężsi ludzie. Dyrektor, Adam Podolski, wychowaniec słynnej „Ecole Centrale”, specjalista budowy maszyn, – to był „artysta” jak z uśmiechem mówi Pan Prezydent.

W kwietniu 1923 r. przybywa do Chorzowa Eugeniusz Kwiatkowski, aby objąć funkcję dyrektora technicznego. Ś. p. inż. Zwiłocki prowadził dział przeróbki karbidu na azotniak. Ś.p. inż. Zaleski prowadził piece elektryczne. Zostaje stworzony dział chemiczny, którego Niemcy nie zdążyli uruchomić. Po paru miesiącach osiągnięto poziom produkcji niemieckiej. W dniu, kiedy to się stało, znikła w rozmowach robotniczych „trutówka”.

Fabryka poczuła się polska

Teraz dopiero fabryka poczuła się polska – od naczelnego inżyniera do robotnika placowego. Kiedy zaś doprowadzono do tego, że piec, który przy Niemcach absorbował 7.000 kilowatów, przy nie zwiększonej polskiej obsłudze zaczął absorbować 16.000 – zaczął się wytwarzać patriotyzm lokalny. Ten patriotyzm ze strony dyrekcji wyrażał się w trosce o robotnika. Zorganizowano dla robotników rzeźnię, dla której zakupywano całymi partiami bydło w innych częściach Polski, tak, że robotnik miał mięso za trzecią część ceny rynkowej, w bezpłatnej szkole technicznej dla dzieci pracowników wykładają inżynierowie i dzieci otrzymują darmo wszystkie pomoce szkolne, w zebraniach załogi bierze udział osobisty prof. Mościcki. Kiedy czasem, w tych niespokojnych i burzliwych

jeszcze czasach, bywa proklamowany ogólny strajk, z którego robotnikom nie wypada się wyłaniać „konspiracyjnie” pracując w nocy, byle nie ucierpiało wspólne dobro – Zakłady Chorzowskie.

Podkreślam ten moment, bo przecież metody Chorzowa przeniosły się do Mościc, bo przecież na sztandarach załóg obu tych zakładów widnieją; Krzyże Zasługi, zdobyte solidarną pracą zespołu inżynierskiego i robotniczego.

Pomyłka doktora Caro

Teraz nastąpił już ostatni akt: wodzenie się z Niemcami po trybunale w Hadze o cenę wykupu. Kiedy już wreszcie ubito transakcję, Geheimrath Doctor Caro, syn konsula niemieckiego, który pochodził z Żydów łódzkich, wyznał:

– Ja to dobrze wiedziałem, że Polska ma prof. Mościckiego. Ale myślałem, że nie będzie pracował na „cudzych tematach”.

Geheimrath Doctor Caro przeoczył, że w te cudowne wiosenne dni Polski, dla wszystkich Polaków był jeden temat: powstać na nowo.

Na ten „temat” karabinem miast piórem pisały wypracowanie ojczyźnie orlęta lwowskie, mając koło siebie w okopach swoich profesorów, na ten temat ministrowie pierwszego rządu lubelskiego z kubelkami kleju po mieście własnoręcznie rozklejali manifesty, na ten temat składów ponemieckich przy rozbrajaniu pilnowali z karabinem w ręku oficerowie jako szyldwachy.

Rozwój „Azotów”

A teraz zobaczmy, co przez ten czas pierwszych lat osiągnął Chorzów?

Wystarczy zaznaczyć, że gdy w 1923 r. wyprodukowano w Chorzowie 39 tysięcy ton azotniaku, to w następnych latach tak zapotrzebowanie wzrastało, że w 1924 r. trzeba było wyprodukować 51, w 1925 – 85, w 1926 – 117, w 1927 – 145, w 1928 – 155 i w 1929 – 166 tys. ton.

Potrzebne drugie „Azoty”

Wszystko to jednak nie wystarczało na wciąż wzrastające zapotrzebowanie krajowe. Toteż w 1929 r. musieliśmy sprowadzić z zagranicy 125.000 ton nawozów azotowych, głównie saletry chilijskiej i wapniowej, za które zapłaciliśmy 55 milionów złotych. I wówczas przystąpiono do budowy Mościc, już na terenie obecnego COPU zwanego wówczas trójkątem bezpieczeństwa.

*Nasz Dziennik, 26 stycznia 2001
p.t.: „Przejęcie chorzowskich „Azotów””*

5. Budowa Mościc *

Trójkąt bezpieczeństwa

...Przystąpiono do budowy Mościc, już na terenie obecnego COPu zwanego wówczas trójkątem bezpieczeństwa.

Poszedł z Chorzowa prowadzić budowę ś. p. inż. Zwiłocki, przeniósł się do Mościc inż. Kwiatkowski, poszła cała ekipa już wypraktykowanych w Chorzowie inżynierów. Kto by tam już mówił o „trutówce”. Rój pozostał i wydzielał nowe roje.

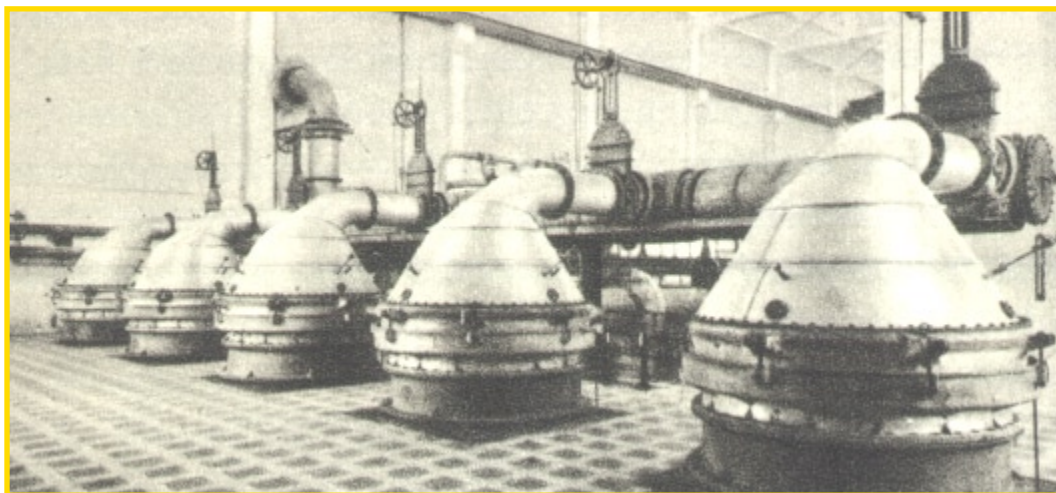
– Ustrzegłem i Mościce od smoły biurokratycznej – powiedział mi Pan Prezydent.

Przypominam sobie te słowa teraz, zwiedzając Mościce.

Jest to jedyny obiekt, który tu, na terenie Okręgu, nie wyrósł spod ziemi i nagle, jest to jedyny obiekt, który ma tutaj zapisane lata pracy, został bowiem dźwignięty w 1928 r. Weteran...

Ludzie przemysłu

Jak ongiś kopalnie Tadeusz, Feliks i Ksawery ku czci ministrów ówczesnych Mostowskiego, Łubieńskiego i Lubeckiego – tak tu te zakłady ku czci Prezydenta Mościckiego – Mościcami nazwane.



Mościce. Hala utleniaczy

Na trzy zmiany

Z okolicznych wsi, gdy dojeżdżamy, spływa sznur robotników na rowerach. Nabycie rowerów ułatwia fabryka. Trzy zmiany robotnicze pracują w ciągu doby, bo zatrzymanie fabryki kosztowałoby sto tysięcy złotych. Więc ku Mościcom i od Mościc fałuje ciągły wachlarz rowerów.

System Mościckiego

Właśnie zwiedziliśmy zakłady – to potężne pięcie się do Boga, bo jakże inaczej nazwać geniusz ludzki, który produkuje z powietrza i wody materię stałą, z której na polach rośnie nowe życie. Bóg to robi na korzonkach roślin motylkowych, w uśmiechu dnia letniego. Człowiek musi na to przejść sam siebie, spiętrzyć groźny świat maszyn. Widzieliśmy wielkie, wielkie, 6 metrowe w podstawie, 17 metrów wysokości dziesięć wież absorbcyjnych systemu Prezydenta Mościckiego.

Jak sen o precyzji niedosięgłej, jak cud baśniowy oglądaliśmy dziesięć utleniaczy o siatkach z platyny, 3.600 oczek na centymetrze kwadratowym, nitka grubości 0,06 mm. Te utleniacze kosztują milion złotych

To tu właśnie dopadliśmy miejsca, w którym chemicy wydzierają azotową tajemnicę naturze.



Wieże absorpcyjne systemu Mościckiego

Tajemnica katalizatora

Spotykamy się znów ze starym znajomym – katalizatorem.

Kiedyś na wystawie kolonialnej w Paryżu wyszedłem znużony z kolosalnego natłoku pawilonów, ilustrujących potęgę władania surowcami we wszystkich częściach globu.

Kiedy wyszedłem z tego odmetu, z nieco szumiącym łbem, w którym coraz to zapalały się liczby siedmiocyfrowe i kłuły w mózg – pozeglowałem do jakiegoś wesołego miasteczka, do bałaganików wesoło szczerzących się do publiczności.

Lubię te bałaganiki, obsiadające wystawy światowe jak wesołe stada wróbli. Zawsze one żerują na tych najnowszych zdobyczach wiedzy jakąś błazenadą i jest w tym ostry smak patrzeć, jak szybko ze świątyń nauki wpadają sensacje uczonych w tłum, rozbawiony i nie mający strapień.

I wówczas, zaopatrując się w jakieś niesłychane ulepszenia gospodarstwa domowego, kupiłem za pół franka drucik, który miał pono zapalać gaz sam przez się, bez użycia zapalaki.

Nie rozumiałem wtedy, że to katalizator. Czynniki, wytwarzające nowe wartości, substancje syntetyczne. Nie rozumiałem, że mały drucik, kupiony w bric a' brac'u handlarza u podnóża potęg tego świata – jest z tej rodziny, która te potęgi, te monopole – wywraca i burzy; bo rodzina katalizatorów burzy monopole surowców, którymi te potęgi władają, bo wytworzono na ich miejsce ciała syntetyczne – jak w danym wypadku: azotniak na miejsce nawozów naturalnych.

Mieliśmy kucharkę – grubą Marię, Litwinkę.

Wysłuchiwała nabożnie przepisu użycia, który jej przetłumaczyłem z załączonej francuskiej instrukcji i orzekła:

– Tak to tak, czemuż, może i dobrze piszono; ale bez ognia wszystko równo płomienia pódzi...

Odkręciłem kurek w kuchence gazowej, przytknąłem ów drucik – buchnął płomień. Maria z niedowierzaniem obejrzała drucik:

– Musi on nasiarkowany, ci jaku smoło napuszczony.

Ale cieniutki drucik platynowy lśnił niewinną miną. Ani się zmniejszał od użycia, ani topniał; pozostawał najdoskonalej obojętny – tylko świetnie jakoś pośredniczył w tym małżeństwie gazu z powietrzem i rozpłomieniał ich związek.

Katalizator!

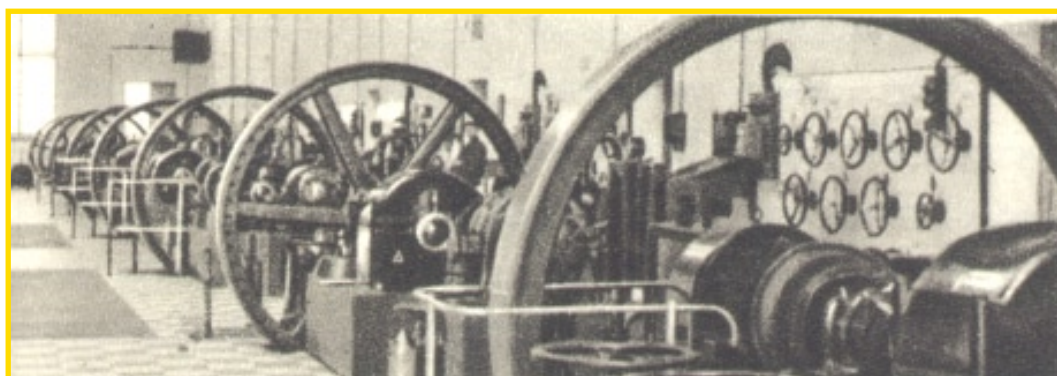
Piszę o nim na innej stronie w rozdziale o kauczuku syntetycznym.

Tu właśnie w tych siatkach z platyny jest on uwielokrotniony. W jedną trzechsetną część sekundy rozszczepia on złożoną z dwu atomów drobinę wodoru. Jak? – Nie wie nie tylko Maria, nie wiem nie tylko ja, ale i sam wynalazca Haber, który w 1909 r. opanował azot z powietrza.

W dziewiętnaście lat potem stanął kolos Mościce. Zaiste szybciej żyjemy, niż w epoce, kiedy wprowadzenie brązu wymagało tysiąca, a żelaza trzystu lat!

Spieszmy dalej – dowiadujmy się dalej, uczmy się więcej.

Jak stalagmity stoją zastępy chłodziw kwasowych.



Hala kompresorów

Z wody i z powietrza

Z wody i z powietrza wytwarza się saletrę – wody by więc nie starczyło w rzece, wypompowano by cały Dunajec. Toteż gruba baszta w podwórzu, w którą tłoczą powietrze od dołu, regeneruje tę wodę. Mimo to bierze się jej 1.300 metrów na godzinę.

W szronie wiecznym stoją kompresory. W nastawioną stągiew leje robotnik z potwornego termosy skroplone powietrze. Powietrze gotuje się jak woda. Ktoś wkłada w „ukrop” dalej i wyjmuje zeszytniały kwiat jak z Karlsbadzkiego szprudla; ktoś inny wsuwa miękką rurkę gumową i wydobywa zeszytniały, zamarzły pręt, który się łamie...

Ogromne hale mają nielicznych robotników, którzy snują się w cieniu maszyn. Maszyny te biegają pod strop, rozwidlają się w galerie biegnące w przestrzeń, w stopnie, w poręcze, w koła napędowe.

8.500 ton maszyn!

47.000 metrów rur!

Przed takim masywem rur, a tym razem nazywa się to chłodnią– woda w jej środku biegnie spłoszonym tabunem, jak zwierzęta w rzeźni, które wola ludzka i nieubłagany konwojer pędzi do puszek bekonowej (tu woda pędzi do tego by wykrystalizować się, zawrzeć w worki i pojechać jako sztuczny nawóz w świat) – pod tą chłodnią usiłują się dowiedzieć, jak też to jest zbudowane, na jakich zasadach.

Pokolenie inżynierów

Młody inżynier uchyla się grzecznie – bez zezwolenia Dyrekcji informacji szczegółowszych udzielać nic może...

Młody inżynier. Wszędzie się on pojawia. Kiedy zwiedzamy fabrykę celulozy, fabrykę celulozy w Niedomicach, która stanęła w ciągu pół roku, dyrektor naczelny prezentuje nam gromadkę młodych chłopców;

- Inżynier X...
- Inżynier Y...
- Inżynier Z...



Składy saletry

To oni „psim węchem” i chłopczyńskim pomysłem wynaleźli rudę u Boronia, u Armaty wytropili siedemdziesięciokilometrowy pas eocenu. To oni rozwinęli na łąkach nad Koprzywnicą sztandar Arkonii. To oni na zboczach Rożnowa brną przez usypiska, przeskakują przez rzeki cementu, jadą na wagonetkach kolejki, to oni w Zakładach Południowych, w Zakładach Cegielskiego, w zakładach budowy motorów lotniczych, w zakładach sztucznego kauczuku zalegają w lampach jasnych białe pola rysownic, kalkulują, budują tworzą...

Wychodzimy z nimi z hal mościckich, przechodzimy pod jakimś ogromnym talerzem, wirującym u podstawy wieży. To wieża granulacyjna. Aby zagęszczony roztwór saletry nie zakrzepł w jedną bryłę, lecz od razu przyjął postać zdatną dla rolnika, rozpryskuje się go w wieży kilkupiętrowej. Gorący deszcz saletry – zanim spadnie na dno wieży – krzepnie chłodzony zimnym powietrzem. Z obracającego się dna wieży odprowadza się gotowy produkt rolniczy. Wirówka rozpyla, zgartują noże, przez oś ruchomej podstawy pędzi zimne powietrze.

Stanęliśmy, zziajani wrażeniami, pod rampą kolejową. Wysokim czubem świeci szczyt wieży granulacyjnej.

Własną głową

Patrzą na nią chłopaki, dołączył się jakiś majster i jeden przez drugiego gada: jak to musieli to i owo własną głową dochodzić. Jak mozolili się nad pewnymi szczegółami, uruchomić nie mogli, czas płynął – sezon się zbliżał.

Mówią o triumfach, o olśnieniach nagłych wyjść prostych, które tylko praktyka daje.

Odetchnął wódz, minister Kwiatkowski. On w Warszawie oczyma świecić musiał. Co go spytają zza granicy, z kraju, czy saletra będzie, to mówi: „Będzie na czas”. A tu dni mijają. Znowu go pytają, to znowu mówi: „Będzie na czas”.

Co by to było, jakby nie było, bo te syndykaty wierzyły i nie porobiły zamówień.

A tu nasi chłopcy lecą, czapkami machają;

– Jest, cholera, jest... Działa jak ta lala!

Milkną. Z nocnego mroku biją młode, pełne energii głosy. Jeden mówi:

– Pojęcia nie macie, jaki to morowy chłop, ten nasz stary. Innym ministrom jak trzeba referat pisać, to dyrektor każe pisać „krótko i popularnie”. A ten to wszystko sam przeczyta, suwak inżynierski obliczeniowy weźmie i woła referenta: „Dlaczego to tak?”

– Chodźmy do składów – rzuca któryś.

– Chodźmy do składów – podchwytyują: jeszcze nie rozumiem, czemu to słowo „skład” tak elektryzuje. Po tych cudach techniki? Złożone pod ścianą worki?

Skład ma ćwierć kilometra długości. Jest w nim pusto. Ze specjalnie uroczystymi minami pokazują tę pustość. Przecie to nie tak dawno piętrzył się wór na worze, czekała ziemia, nie miał za co rolnik kupić. Krzyczała cała Polska, że Chorzów i Mościce, to gospodarka bez kalkulacji, to przerost etatyzmu, to zamrożone pieniądze.

Z jednego kilograma na cztery

Młodzi inżynierowie liczyli, że kilogram nawozu kosztuje tyle, co kilogram ziarna, a zwiększa plon o cztery kilogramy. Czuli się na siłach uwielokrotnić plony i patrzyli, jak energia życiodajna zalega w worach i wysłuchiwali sarabandy krzyków.

Kiedy przyszła powódź 1934 r., już tylko dziesięciu centymetrów brakowało, aby woda nie zalała magazynów. Zmobilizowali ochronę dzień i noc. Wyratowali. Wyratowali swoją troskę i swoje strapienie, swoją „hańbę”.

„Stary” dodawał im otuchy i obiecywał:

– Zobaczycie, że te składy kiedyś się opróżnią i wówczas wyprawię wam bal.

Ruszyła Polska

– No i co? – krzyczą mi niemal w ucho. Ruszyła Polska, sypnęły się zamówienia, z placu rwano na wiosnę złożony towar.

Minister Kwiatkowski dotrzymał obietnicy – stanęły długie stoły, przyszły robotniki wszystkie, od majstra do placowego, wszystkie inżynierzy, wszystkie techniki, wszystkie ich żony i ciotki. Cieszył się lud Mościcki na pohybel kryzysowi, na szczęście tej Polsce, która bujnie porośnie, na szczęście temu Chorzowowi, tym Mościcom, które są za małe, za małe...

ZA MAŁE! – zdaje się krzyczeć tu wszystko. Wyżej, dalej, prędzej!



Eksport polskiej saletry do Chin

*Nasz Dziennik, 2 lutego 2001
p.t.: „Budowa Mościc”*

6. Budowa fabryki celulozy w Niedomicach *

Niedobór celulozy

Polska miała produkcję celulozy niedostateczną i sprowadzała 20 000 ton rocznie.

Rozpoczęto budowę w 1936 r. i obecnie na miejscu, gdzie kumkały żaby wznosi się 115.000 metrów przestrzennych zabudowań, do których doprowadza trzykilometrowa bocznicą.



Fabryka w Niedomicach stanęła 15 km od Tarnowa, rozciągająca się na 80 hektarach podmokłej łąki.

Do fabryki celulozy popłynie potok karpackich i kresowych świerków, 100.000 metrów przestrzennych papierówki będziemy przerabiać na tak wartościowy produkt, jak sztuczny jedwab. I nie tylko jedwab: nasze wyroby bawełniane i wełniane będą zawierać 25% sztucznego włókna, które dadzą Niedomice, co proporcjonalnie zmniejszy import bawełny.

* W oryginale tytuł: „Z Polski lesnej i polnej w Polskę zbrojną i przemysłową”

I znowu przypomnieć się muszą czasy gorączkowego szukania oblicza własnego dla Polski gospodarczej, kiedy W. Jones z Manchesteru pisał do Lubeckiego:

„...dotąd Polska nie posiadała rękodzielni na wyroby bawełniane i jedwabne, nie idzie zatem, aby onych nigdy mieć nie mogła. Każda rzecz ma swój początek, a śmiem powiedzieć, że, gdyby w tej mierze plan mądrości i ostrożności oparty ułożonym i wykonanym został, przed upłynięciem lat niewielu sama by się Polska nad postępek swym zadziwiła”.

Drogi panie Jones. Bóg zapłać za słowa otuchy. Wówczas przyszły złe czasy, przeleżały się dobre rady sto lat w szufladzie. Wyciągnęliśmy je teraz i skorzystamy.

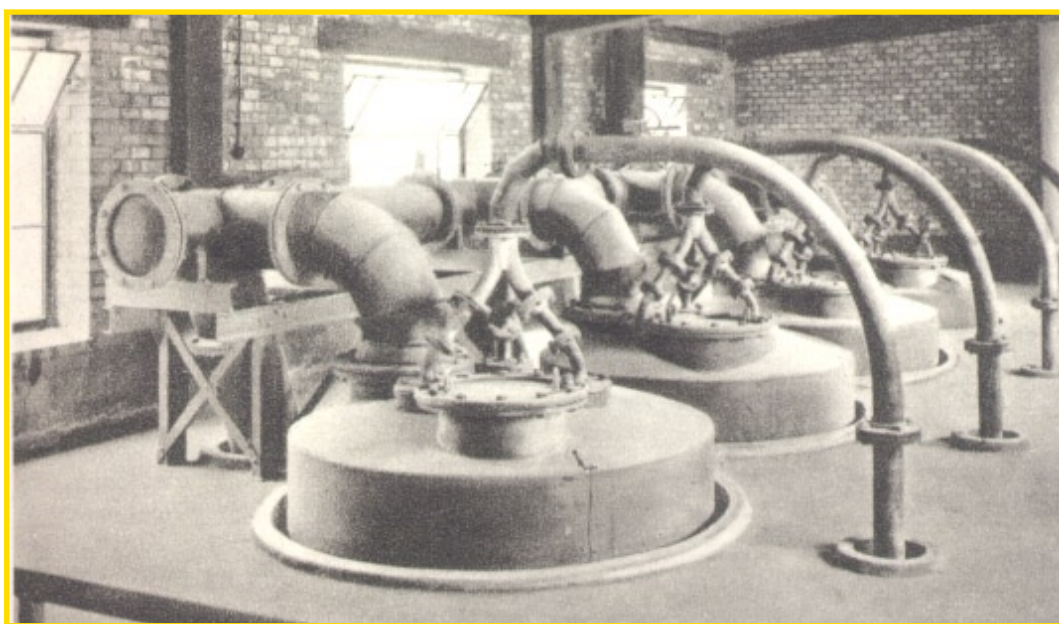
Najważniejsze jednak, to nie przeróbka drzewa i nie wyrób materiałów, a uodpornienie kraju przez to, że nie będziemy potrzebowali sprowadzać podstawowego surowca, służącego celom obrony–bawełny strzelniczej, którą zastąpi celuloza specjalnie spreparowana.

Las

Wychowałem się w kraju leśnym, w którym las był głównym źródłem utrzymania zarówno dla magnata, jak i dla chłopą, jak i dla żyda. Las żywił nas, karmił, odziewał. „Chto w lesie nie złodziej, toj i nie gospodar” głosiła mądrość chłopska. Przywykliśmy, że las ten zjawia się przed nami pod różną postacią – od jagód i polowania poczynając, kończąc na fabrykach drewnienek do zapalek i szpilek do butów.

Drewno

Toteż z przejściem patrzyłem, jak tu ten las wspina się na szczyt przeróbki. U nas – ociosany toporem, jeszcze po dwu latach potrafił smolić, podpierając kolumnami dachy ganków. Przerabiany na szpilki, na patyczki, był zawsze sobą, substancją drzewną i, rzekłbyś, całej tej nieskomplikowanej fabrykacji przyglądał się życzliwie ostęp leśny, podchodzący tuż do budynku fabrycznego, o którego dach ocierały się nierzadko konary potężnych lip i kasztanów.



Głowice zbiorników

Tu – nadchodzi las z daleka – pocięty w równe, krótkie odcinki papierówki.

Podpływa wodnym basenem do transportera drewno pięknie przycięte. Na takich pociętych balach wyprawialiśmy harce, kiedy płynęło przez służę młyna, nikt mu nie robił nic złego, tkwiło sobie wieki w swojej drzewnej postaci na użytek ludziom.

Ale inżynier, który je spotyka, poprawia szkła na nosie i już wszystko wie: że oto w tym drewnie jest 25% wody, 45% celulozy czystej i 30% różnych innych składników. Inżynier chce wydrzeć drewnu ową celulozę i poczyną się walka.

Konwejer wnosi bale do potężnych maszyn i noży, które tną drzewo na drobne drzazgi. W każdej jednak drzazdze drży dusza celulozy i dusza drewna, złączone wzrostem drzewa, sankcja wieków, praktyka pokoleń.

Wielki więc pneumatyk tłoczy drzazgi w górę i ładuje do potężnych warników.

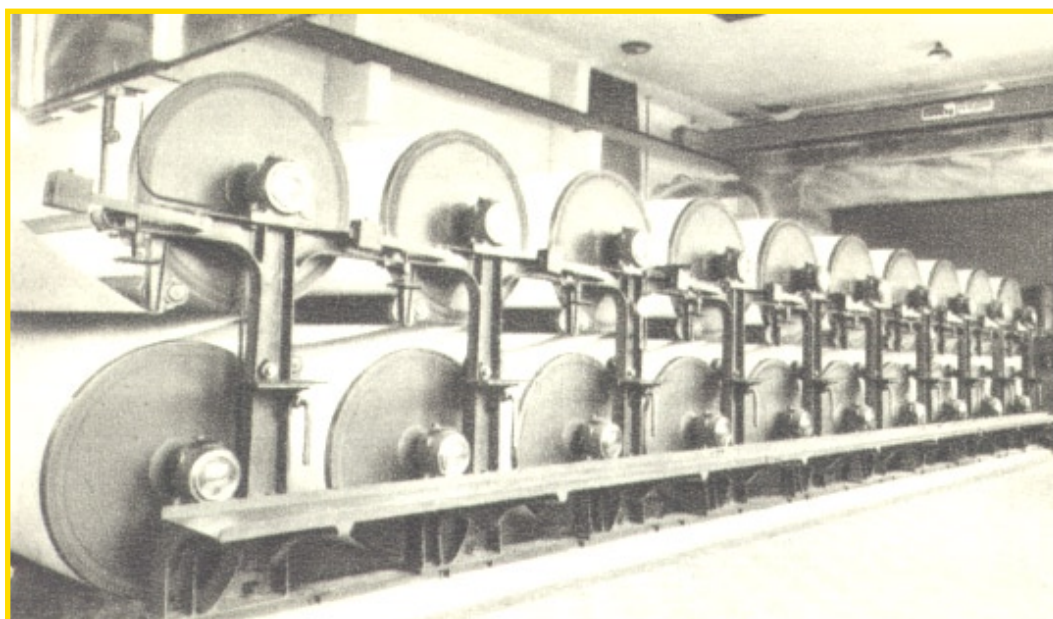
Patrzę z szacunkiem dzikoluda, który wzrósł między tymi drzewami i przemykał się drożynami leśnymi, przespilonymi słońcem – na owe warniki-izolatory. Tak nazywają bolszewicy więzienia celkowe wyłożone korkiem, odcięte od najmniejszego odgłosu, w których rozkładają opór dusz ludzkich.

Warniki-izolatory stoją potwornym szeregiem, od gruntu, aż gdzieś na piętrowe wysokości. Każda z tych potwornych gruszek metalowych nabrzmiała jest przestrzenią 153 metrów sześciennych, każda z nich mieści 12 ton celulozy.

Tak, celulozy. Po piętnastu godzinach gotowania i traktowania kwasami celuloza się oddziela i opada na dół. Odcieka brunatna ciecz – ługi posulfitowe. Latem stanie dodatkowy zakład – dla utylizacji tych ługów, z których robić się będzie brykiety, garbniki (można by robić alkohol, ale rolnicy by protestowali).

Noworodek

Tymczasem zajmijmy się celulozą. Noworodek, kiedy zeszły wody porodowe – ługi posulfitowe – wygląda jeszcze nieszczególnie. W tej celulozie tkwią jeszcze drzazgi, piasek,



Suszarnia

sęki – więc jedzie do sortowni, promenuje nieskończonym konwejerem sit.

I wreszcie stadium ostatnie – mokra rzadka masa celulozy wpływa na szerokich taśmach w olbrzymią rotację, której walce wygniatają wodę, a filce równocześnie z coraz suchszą masą celulozy przesuwające się pod walcami wchłaniają jej wilgoć. Tak celuloza idzie przez dwadzieścia nagranych walców rotacyjnych, a iść by musiała przez czterdzieści, gdyby konstruktorzy nie schytrzyli się i nie urządzili jej w pewnym miejscu końcowym



Skład celulozy

jej wędrówki rzymskiej łaźni – kamery hermetycznie zamkniętej o bardzo wysokiej temperaturze.

Z tej kamery wychodzi grzeczna i sucha; szeroki nóż tnie ją na arkusze i oto mamy duszę drzewa, którą moglibyśmy sobie np. wytapetować pokój. Z dwóch i pół wagonów drzewa zrobił się jeden wagon celulozy. Pójdzie teraz do fabryk papieru.

Ale nie cała. Już się wykończa oddział bielenia celulozy. Tamta bielona celuloza zastąpi nam bawełnę strzelniczą.

Praca dla drwali

Złapie się za kudłaty łeb murzyn na plantacjach bawełny w stanach południowych tracąc pracę. Ale zdejmie czapkę bezrobotny drwal na Wileńszczyźnie i przeżegna się szeroko krzyżem świętym.

Wychodzimy z inż. Banaszakiem z fabryki. Wszędzie błyska kwasoodporna stal. Stal bowiem musi być nie tylko nierdzewna, ale i kwasoodporna; ale też kosztuje sześć razy drożej, niż miedź, której dotychczas używała fabryki.

Idziemy teraz pod piece pirytowe. Nie mając dostatecznych złożów siarki, używamy pirytu dla wydobywania kwasów, którymi traktujemy drewno. W pirycie jest 45% do 50% siarki. Jest to proszek brunatny, przywożony z okolic Kielc.

Piec pirytowy – to znowu kolos parupiętrowy. Dołem wychodzą wypałki pirytowe; zawierają one 65% żelaza, więc pół ceny pirytu zwrócą Niedomicom fabryki wytapiające rudy.

Do oczu nabiegają łzy. To gaz wydzielający się z pirytu. Robotnicy jednak się nie skarżą – przywykli. Ponoć w Szwecji nawet zainstalowano sanatorium dla gruźlików na dachu fabryki wypalającej piryty.

Nie czuję jednak inklinacji do tej kuracji i mimo klatki, w której stoi mała zła bestia – maszyna elektryczna o napięciu 55.000 volt, prostująca prąd zmienny na stały – wybiegam nad baseny, do których odprowadza się woda z fabrykacji.

Woda z Dunajca

Niedomicze leżą nad Dunajcem i spożytkowują ogromną ilość wody: 50,000 mtr. sześć. na dobę, (gdy cała Warszawa zużytkowuje 80.000 mtr. sześć.). Aby nie zatruwać Dunajca wodą, zanieczyszczoną produktami fabrykacji, przekopano kanał do rzeczki innej, Żabnicy, która wpada do Wisły o 40 kilometrów poniżej Dunajca.

To mi trochę przypomina decyzję władz miejskich jednego z miast w Małopolsce. W mieście tym na ul. Kilińskiego był ulokowany zakład cieszący się brzydką sławą i ulica ciągle pełna była pijatyki i burd. Spowodowało to interpelację grupy radnych, oburzonych kłaniem pamięci bohatera. Magistrat znalazł się w kłopotcie, bo nie mógł zmusić właściciela kamienicy do zerwania korzystnego długoletniego kontraktu. Wówczas rajce poszły do głowy po rozum i zaliczyli dom ów, jako że był narożny z ul. Słowackiego – do ul. Słowackiego.

Ten ustęp dedykuję obywatelom znad rzeki Żabnicy. Fabryka w Niedomicach będzie zatrudniała 50 urzędników i 300 robotników. Poczęto ją budować w lipcu 1935 roku. Koszt jej wynosi 11 milionów złotych. Fabryka ruszyła w listopadzie 1937 r.

I ta fabryka, jak wszystkie inne w Okręgu Centralnym ma doprowadzony gazociąg (będzie używać 12 milionów metrów sześć, gazu) i ona będzie się karmić produktami, wydobywanymi na terenie Okręgu: pirytem, chlorem, wapnem palonym, kamieniem wapiennym.

I koło niej, jak koło innych fabryk, została zbudowana kolonia robotnicza ze świetlicą, ambulatorium, stołówką i łaźnią.

Zapobiegliwa ręka

I kiedy widzę, jak potężne maszyny chwytają w swoje miażdżące objęcia drzewo, i tęgie bale wychodzą pocięte i pomiażdżone na drobnutkie drzazgi, myślę o straszliwie rozrzutnej gospodarce pokoleń i odczuwam wdzięczność dla zapobiegliwej ręki, która gospodarować poczyną w polskim gospodarstwie.

Nasz Dziennik, 9 lutego 2001

p.t.: „Budowa fabryki celulozy w Niedomicach”

7. Początki „Stomilu” *

Lwowski „Metan”

Nie było tej niepodległości jeszcze, ale już zalatywał jej zapach.

W 1916 r. we Lwowie prof. Ignacy Mościcki, obecny Prezydent Rzeczypospolitej, zakłada skromną na razie komórkę badawczą, jako spółkę pod nazwą Instytutu Badań Naukowych i Technicznych „Metan”.

Polacy amerykańscy ofiarowują 240.000 zł i Instytut przenosi się do Warszawy. Przez pierwsze jednak dziesięć lat jego istnienia niebieski skreślający ołówek ciąży nad każdą pozycją, którą ktokolwiek chce w polskim budżecie wywalczyć na jakąkolwiek pracę badawczą. Pamiętamy ów milion marek, rzucony na badania kauczuku syntetycznego w Niemczech? Pamiętamy szaleństwo sowieckiej kauczukowej szarży ?

Tam, w tych sąsiednich państwach totalnych, lekko wstawia się w budżety sumy milionowe. Masy są dopingowane reklamowanymi eksperymentami, zasada pokrycia złotego zarzucona, zbrojenia postawione na pierwszym miejscu, zbrojenia, które mają służyć celom ataku.

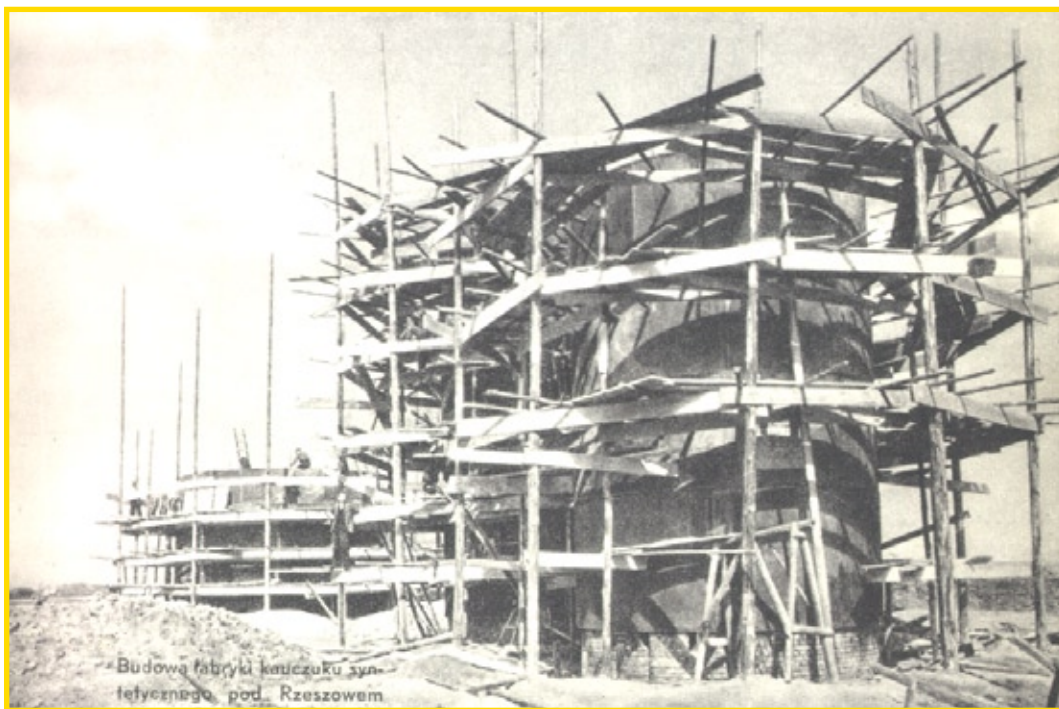
Polski Chemiczny Instytut Badawczy

...Polski Chemiczny Instytut Badawczy żyje przez pierwsze dziesięć lat zamówieniami poszczególnych przemysłów, poszczególnymi subwencjami i ofiarnością współpracowników. Tym niemniej przerobiona ilość prac jest zdumiewająca, trudna do sprecyzowania przez laika i dla laików.

Licząc się z tym, że nasze stulecie nazwać by można stuleciem lekkich metali, przeprowadzono kalkulację huty aluminiowej, opracowano otrzymywanie tlenku glinowego z krajowych glin, rafinację aluminium z łomu, fabrykację cementu portlandzkiego, produkowanie elektrod węglowych, które były importowane, z materiałów krajowych, asfaltowanie nawierzchni, otrzymywanie sodu i magnezu, wyeliminowanie importu soli galwanotechnicznych itd.

W dziedzinie węgla nie lada przerobiono zadanie: naszym węglem, nie posiadającym w dostatecznej mierze wrodzonej własności koksovania – tej przedziwnej, tylko niektórym węglom zagranicznym i kilku procentom węgla naszego swoistej własności – nadać, niejako wszczepić nowe cechy – cechy tak pożądanego przez przemysł metalurgiczny koksovania. Tymi pracami kieruje obecny minister Świątosławski. I oto zostaje osiągnięte brykietowanie, specyficzne półkoksovanie, oryginalnie rozwiązane dokoksowywanie. W czerwcu 1936 r. dało się uzyskać przy użyciu syntetycznego koksu 300 ton surowca żelaznego. Sukces całkowity. Tym większy, jeśli uświadomimy sobie, że wszystkie nasze węgle koksujące leżą najdalej o 10 km od granicy.

* W oryginale tytuł: „Opona z kartofla”



Budowa fabryki kauczuku syntetycznego pod Rzeszowem

A potem przyszły prace nad ograniczeniem popiołu w miale węglowym, nad metodą magazynowania (samo-zapalania się), prace nad bakelitami, nad wyzyskaniem torfów polskich (zważmy, że torfowiska ziem półn.-wsch. mogą zmienić ich wygląd gospodarczy, dając energię elektryczną jeszcze tańszą od uzyskiwanej z wodnego napędu) itd.

25 zgłoszeń patentowych było rezultatem pracy działu węglowego.

W dziale metalurgicznym najważniejszym tematem była sprawa cynku, tego surowca polskiego, który w światowej produkcji zajmuje tak poczesne miejsce.

Narodziny polskiego kauczuku syntetycznego

Te dorywczo wymienione prace przytaczam tak, jak się wymienia na chybił trafił na uroczystości rodzinnej imiona przodków. Chciałbym bowiem, ażeby czytelnik choć częściowo uchwycił tę genealogię, ten rodowód prac teraz, kiedy obchodzimy narodziny nowego dziecka Chemicznego Instytutu Badawczego – narodziny kauczuku syntetycznego.

W ciszy laboratoriów Instytutu Chemicznego od lat pod kierunkiem inż. Szukiewicza trwały badania metod fabrykacji sztucznego kauczuku. Trzeba się było przede wszystkim zdecydować – jaką drogą pójdziemy.

Kauczuk można produkować z węgla, z gazów ziemnych i z setek innych surowców. Myśmy zdecydowali się wyrabiać kauczuk z ziemniaków. Widzieliśmy, jak Rosja próbuje wyrabiać go z drzewa, z nafty. Niemcy robią swoją bunę z acetyleny. Niby to nic – acetylen tworzy się z węgla, wapna, powietrza i wody – ale wyciągnięcie z niego kauczuku syntetycznego jest dwa razy droższe, jak wyprodukowanie tego kauczuku z ziemniaków. Niemcy zagrożone brakiem żywności, musiały wybrać ten sposób produkcji, ale w Polsce w 90% piaszczystej, w Polsce, w której gleba i klimat, a poza tym bieda ustanowiły smutny

rekord światowy największego spożycia na głowę ziemniaka – ten ziemniak wydał się najodpowiedniejszym.

Przed wojną ziemniak żywił nas w przenośnym znaczeniu trzykroć lepiej, niż obecnie. Galicja, Poznańskie i Królestwo wraz z Kresami eksportowały spirytus, każde w głąb imperium, do którego przynależały. Po wojnie gorzelnie na ziemiach polskich dla rynku polskiego okazały się w nadmiarze, tak, że produkują tylko jedną trzecią spirytusu. Ten sam los podzieliły krochmalnie, fabryki mączki kartoflanej, płatków kartoflanych i syropu. Rezultat jest taki, że Czechy przerabiają na spirytus 6% swoich kartofli, Niemcy 4%, a Polska zaledwie 2%.

Teraz ten stan ma się zmienić. Wydajność przeciętnego hektara ziemniaków wynosi w Polsce 120 q (w Niemczech 170 q). Ze 120 q otrzymamy 1.200 litrów spirytusu tzn. 200 kg kauczuku sztucznego.

Do 30 opon z hektara

Ostatecznie – można powiedzieć, że zależnie od wielkości, z hektara ziemniaków otrzymamy 10 do 30 opon samochodowych.

Polska importuje 6.000 ton kauczuku w chwili obecnej, Niemcy 2 miliony, Anglia 62 miliony, Włochy 16 milionów. Równałoby się to 30.000 ha. Na wyprodukowanie 1 kg kauczuku polską metodą trzeba zużyć 4,55 kg alkoholu. By pokryć całe zapotrzebowanie kauczuku w Polsce w 1937 r. trzeba będzie zużyć 28.437 ton alkoholu. Jakie to ma znaczenie dla naszego rolnictwa widzimy, uprzytamniając sobie, że całkowita produkcja spirytusu w Polsce w 1936 r. wyniosła 57.000 ton.

Fabryka kauczuku syntetycznego powstaje pod Rzeszowem na linii gazociągu i linii elektrycznej wysokiego napięcia w miejscowości Pustynia. Nie jest to tylko całkiem symboliczna nazwa, bo drogi jeszcze nie ma i ledwo można dojechać. Aby dojechawszy przekonać się, że dopiero wznoszą się ściany.

Nie ma co – trzeba nawrócić do Warszawy i w Instytucie Badawczym Chemicznym, w którym dźwignięte są instalacje półtechniczne, obejrzeć proces wytwarzania kauczuku syntetycznego.

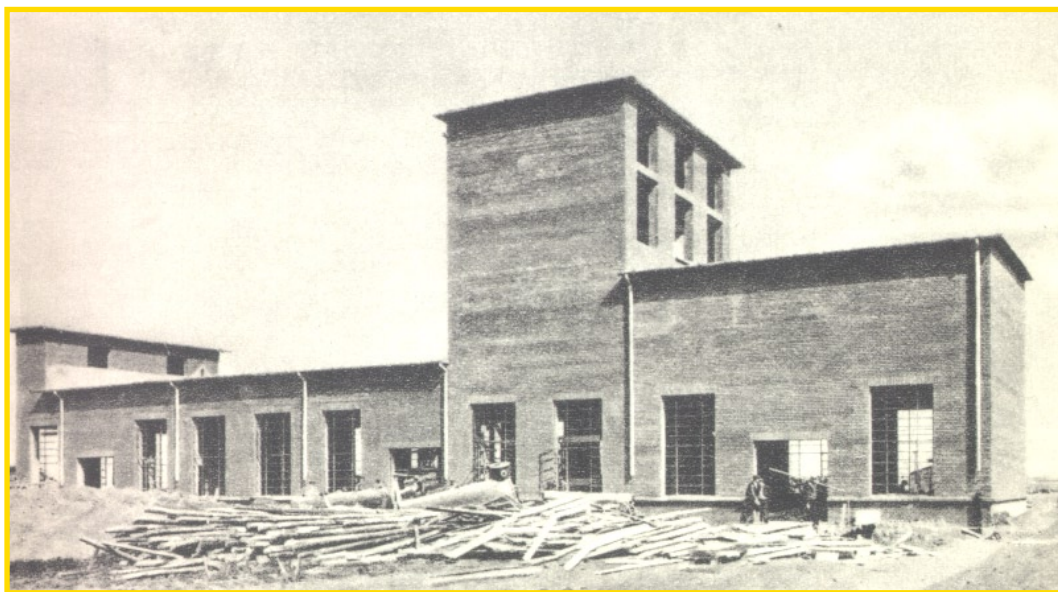
Kazimierz Kling

Dyrektorem Chemicznego Instytutu Badawczego jest profesor Politechniki Warszawskiej dr Kazimierz Kling, jeden z najbliższych współpracowników Prezydenta jeszcze z czasów lwowskich. Uprzednio bowiem prof. Kling miał katedrę we Lwowie.

Profesora odwiedzałem przed kilku laty w jego prześlicznej Wydrnie -majątku, leżącym gdzieś w bok opętane 40 kilometrów od Miejsca Piastowego, gdzieś pod Iwoniczem. I podczas, kiedy nasze dwa auta – mój „Kasperek” i jego „Bonawentura” (perwersiarz narządzony na sleeping, który właśnie otrzymał na imieniny pięć kilo doskonałej oliwy) obwąchiwały się wzajemnie, zatonałem w kontemplacji cudownej panoramy starego parku, wyszukanych intarsyj.

KER

Tutaj – spotykamy się w zupełnie różnych warunkach. Szary mur otacza wielki kompleks budowli na Żoliborzu. Coś między apteką a halą fabryczną. Woźny nawet ma minę chemiczną. Jestem już z góry zmiażdżony. Z nabożeństwem stąkam długimi korytarzami. To tu będzie się produkował kauczuk syntetyczny



Pawilon KERU pod Rzeszowem w budowie

Nazwijmy go KER,

tak jak niemiecki kauczuk nazywa się Buna. Dobrze?

KER – to znaczy kauczuk erytrenowy.

Przede wszystkim należy by od spirytusu 9 C. H. O. odłączyć tlen O. I tu spoczywa cała tajemnica produkcji, bo jej sens polega na doborze odpowiedniego katalizatora.

Klucz do zamku

Magiczne to pojęcie – katalizator. Już o jednym katalizatorze, platynowym, piszę w opisie Mościc. Katalizacja przyspiesza łączenie się składników. Katalizator w proces nie wchodzi, tylko go przyspiesza.

Sam cukier np. nie pali się, tylko się karmeluje, popiół również się nie pali. Do doboru katalizatora dochodzi się bardzo często przez doświadczenie, przez przypadek i nikt nie potrafi wytłumaczyć działania procesu chemicznego żadną formułą. Stąd tajemnica katalizatora jest najczęstszą tajemnicą fabryk. Oswald Wilhelm, chemik niemiecki, pisze, że katalizator dobiera się jak klucz do zamku.

Przerabia się w tym celu dziesiątki tysięcy doświadczeń, ale poza tym trzeba mieć szczęście. Zespół czynników czyni działanie katalizatora skutecznym. Stąd fabryki, chcąc zachować tajemnicę, nie tylko nie dopuszczają postronnych osób do fabrykacji, ale wszystkie skale na manometrach, termometrach itp. przyrządach podają fałszywe, a klucz do nich ma tylko kierujący produkcją inżynier.



Ot i tu w gablotce widzę kolejne stadia przetworu.

W szklanym cylindrze jakaś żółta substancja. To jest właśnie ów tajemniczy wysłannik królowej Chemii, wybrany z tysięcy katalizator najcelowszy, nie zatruwający się, najszybciej wydzielający ze spirytusu erytren.

Niech pan się nie przejmuj – uśmiecha się oprowadzający inżynier – to nie jest jego właściwa substancja.

Teraz erytren idzie do zbiorników ciśnieniowych, gdzie go poddają polimeryzacji i w rezultacie otrzymujemy różowe poacie kauczuku erytrenowego. Oddzielamy z nich ciągnące się włókna, które jednak nie mają jeszcze potrzebnej konsystencji. Jest to już jednak Ker. Trzeba go tylko zwulkanizować tak jak i kauczuk naturalny i będziemy mieli pierwszorzędny wyrób. Właśnie podtaczają oponę od ciężarowca. „Carcass”, jej część wewnętrzna, która musi być bardzo elastyczna, jeszcze się robi z naturalnego kauczuku, ale to samo robią Niemcy. Natomiast na protektor idzie pięć kilometrów keru, który jest mniej ścieralny.

Jazda na polskich ziemniakach

W Pustyni obok fabryki keru wznosi się gmach fabryki opon samochodowych „Stomil”.

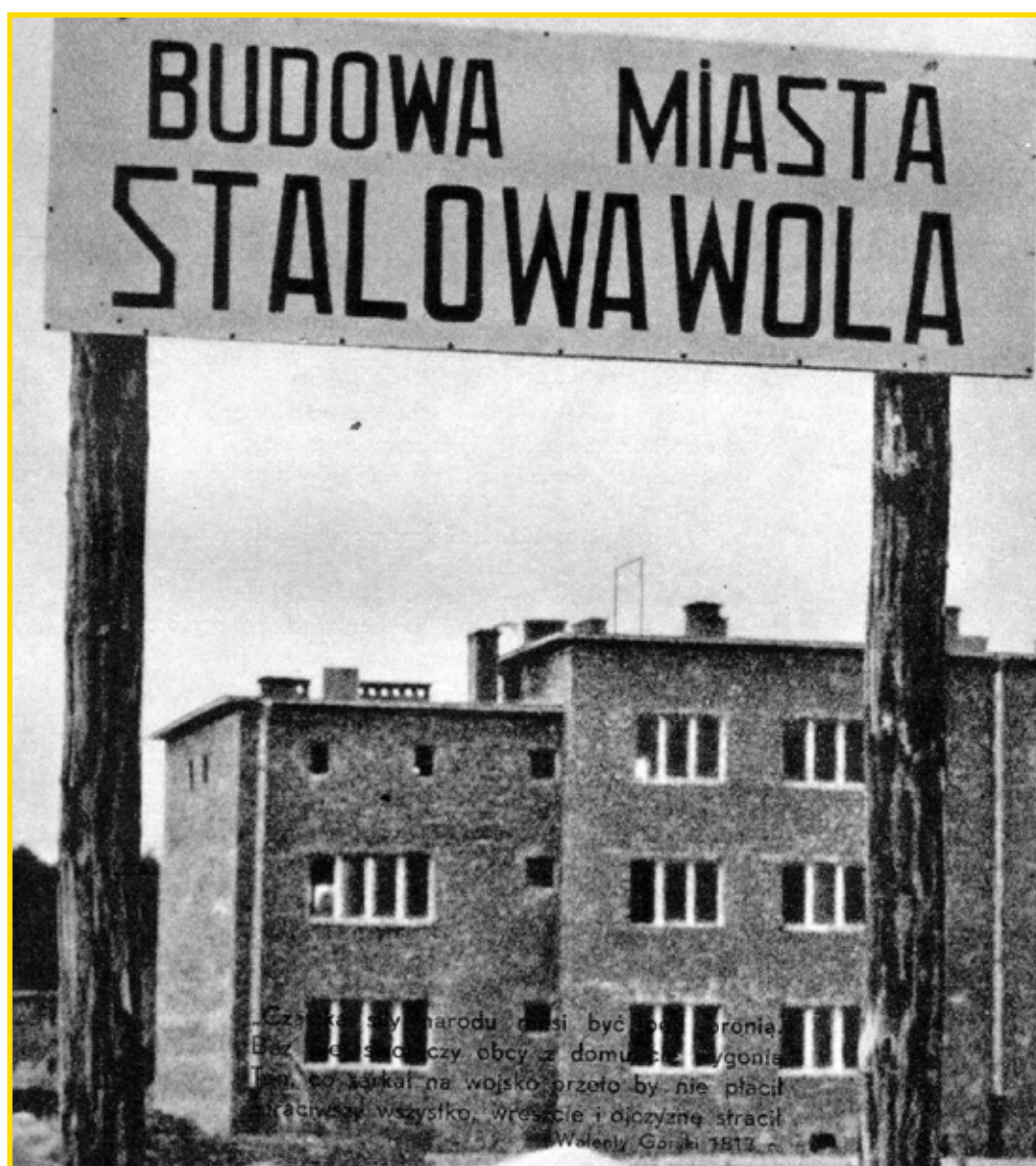
I podczas kiedy robotnik toczy z powrotem do składu pięknie błyszcząca oponę ze znakiem dwóch skrzyżowanych biało-amarantowych chorągiewek – godłem „Stomilu”, myślę o tym, jak to będziemy jeździli na polskich ziemniakach i o tych mrówczych pracach, które doprowadziły do tego wyniku.

*Nasz Dziennik, 16 lutego 2001
p.t.: „Początki „Stomilu””*

8. Narodziny Stalowej Woli *

Frontem do Okręgu Centralnego

To było w 1920 r. Koniec lipca, czy początek sierpnia. Bolszewicy już w sercu Polski. Jechałem na gwałt z Litwy Kowieńskiej okólną drogą - przez Gdańsk. W Gdańsku wypadło czekać. Powieziono mnie na Nogat, obwieziono po porcie. Stał w nim nieruchomy, milczący „Triton”, parowiec angielski, pęczniejący od amunicji, którą przywiózł na polskie zamówienie. Amunicji tej nie pozwalali wyładować Gdańczanie.



Początki Stalowej Woli

* W oryginale tytuł: „Stalowa Wola”

Ze mną w motorówce byli ludzie, którym sprawa zaopatrzenia walczącego kraju w broń była nad wszelki wyraz pilna. Opowiadali o transportach, które nie mogą przejść przez Niemcy, o wagonach z bronią, które zatrzymywali Czesi.

Serce narodu obłukiwało się o wrogi, siedzący na tchawicy Gdańsk, jak nasza łódka o milczące boki olbrzymiego „Tritona”.

Na tej zielonej mętnej wodzie przeżywaliśmy największe upokorzenie narodu niezbrojnego, rolnego i polnego, który nie ma własnej drogi morskiej, a sam nie fabrykuje broni.

Z tego upokorzenia, że nie mamy wolnej drogi w świat strzeliła Gdynia. Dlatego jej tu i tej drodze morskiej rozdział osobny poświęcam. Bo COP bez wylotu w świat – to jakby kto grobowiec pięknie i wygodnie urządził.

Zobaczmyż, jak ten kraj rolny i polny drugie upokorzenie – brak własnej broni – załatwia. Dłuższa to jeszcze droga, niż port własny. Wiele szczebli należy przejść, wiele fabryk postawić, nim się dojdzie do podstawowej fabrykacji – stali. Tak, aby ta stal mogła być przerabiana przez nas samych.

Słuchajcie, słuchajcie: – Opowiem wam o polskim Magnitogorsku, o polskim Magnitostroju. Słuchajcie, słuchajcie. Będę mówił o cyfrach, o faktach. Nie ma co się szminkować w chwytach literackie. Śmieliśmy się, że literaci rosyjscy otrzymują nakazy: „Licom k kroliku!” i przez tydzień piszą tylko o potrzebie rozmnażania królików w kołchozach.

Jesteśmy całkowicie nastawieni, wszyscy, którzyśmy tam byli, „frontem do Okręgu Centralnego”. Śmieliśmy się i rozdzielali, kiedy chciano nas stawiać frontem do tego lub owego hasła. Ale tu oczy nasze widziały zmienianą powierzchnię ziemi, uszy nasze słyszały kucie kafarów, ręce nasze dotykały stali i żelaza.

O trzydzieści pięć kilometrów od Sandomierza, od Rozwadowa 6 km, od Niska 11 km, na liniach energetycznych północ – południe, w idealnym centrum, w którego 100 kilometrowym promieniu znajdują się Ostrów, Wierzbno, Skarżysko, Przemyśl, Rzeszów, Dębica, Mościce, tam, gdzie teraz trzyma się na powierzchni wioska Pławie, zakupiono pod budowę wielkich zakładów hutniczych 600 ha terenu.

Jak będą się nazywać zakłady, dowiecie się na samym końcu. Teraz już powiedzmy, że będą wyrabiała szlachetną stal.

Stal spełniająca najwyższe wymagania

Stal walcowaną, prasowaną, kutą, narzędziową, konstrukcyjną...

Stal o współczynniku rozszerzalności ograniczonym – takim jak aluminium, którym ta stal współpracuje – np. w gniazdach zaworowych.

Stale o najwyższych wymaganiach, obsługujące różnorodne potrzeby – od spinki do samochodu.

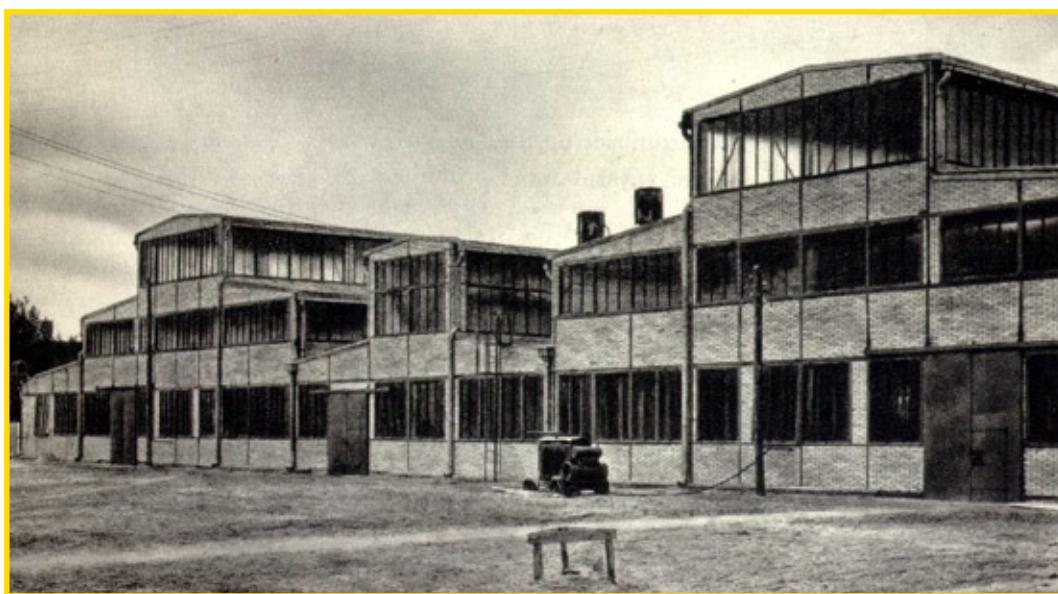
Stal ta będzie przybywać kanałami ze Śląska, a, da Bóg z terenów COPU, na których obecnie badamy pokłady rudy.

50 – 60 kilowe „gęsi” żelaza, zastygłe w drażonych w wilgotnym piasku „kopytach”, chropawą szlaką obrosłe, tu będą wyładowywane z barek, tu będą się reinkarnować w stal.

Tę stal stąd będą otrzymywać wszystkie zakłady w COPie i w całej Polsce.

80 ha przeznaczono na budowę tych wielkich zakładów hutniczych. 20 marca 1937 ścięto pierwszą sosnę. Las to bowiem był prawy, na piaseczku rosnący. Jenerał Scaevola – Wieczorkiewicz brnie teraz przy mnie w piasku między stojącymi halami i kręci głową:

W tym roku jeszcze zimą tu polowałem. Teraz stoi szereg pawilonów. Tory kolejowe zbudowano nie prowizorycznie dla budowy, a na stałe, poprowadzono po miejscach, nad którymi zasklepiają się ogromne szklone hale. Stoimy właśnie w takim „domku”, który jednym dachem nakrywa powierzchnię dwu hektarów. Obok wznoszą drugi, który zajmie przestrzeń trzech hektarów.



Część dachami pokrytego terenu

Dachami będzie pokryta ogólna przestrzeń 9 ha.

Zakłady leżą na przyszłej magistrali elektrycznej, idącej przez Nisko na Lublin – Siedlce, leżą na drodze wielkiego gazociągu z Warszawy. Zakłady będą otrzymywały trojaką energię: elektryczną, gazową i węglową, bo węgiel popłynie uszlachetnioną i przebitą ku Śląskowi Wiśłą. Będą mogły pracować bądź tą energią, bądź tą.

Przy budowie Zakładów pracuje 2.500 robotników, a przy budowie osiedli dla urzędników i robotników 1.500. 7.500 ludzi pracuje dla Zakładów w całej Polsce. Nie mamy za sobą Vickersów, Armstrongów, Schneiderów.

Praca wyłącznie polskimi siłami

Przecież ręce sobie podały „Zgoda”, „Zieleniewski”, „Ostrowiec”, „Jenike”. Tu będzie stalownia. Już zabudowano 80.000 mtr. kwadr., milionem metrów sześciennych, już dotąd zużyto 10.000 ton żelaza (tzn. 1.080 wagonów), wagonów cegły zwykłej 1.860, dziurawej 447, cementu 939, piasku 4.168, tłuczni 5.095, szkła 41, płyt żeliwnych 238. – Zając przestraszony porywa się przed nami i sady wyrwą między dwoma rosnącymi blokami. Górą, wysoko wystrzela nad las wieża ciśnień, którą będzie iść woda z Sanu. Ludzie na

jej szczycie uwieszeni wyglądają jak trzmiele. Znowu wchodzimy w halę. Montują w niej właśnie suwnicę, która leciutko będzie dźwigać 60 ton, podbiegając nad podjeżdżające pod dachy wagony i rozwożąc ciężary po pojedynczych stoiskach,

Następnej hali jeszcze nie zaczęto sklepić. Stoi już szereg żelaznych podwójnych szesnastotonowych słupów, na których będą się wspierać stropy. Nie są one budowane jak dawniej, szklanymi pochyłymi płaszczyznami. Świetliki są prostopadłe, dachy na nich nieprzejrzyste. Podraża to konstrukcję, ale, miły Boże, czego człek dla „estetyki” nie robi. Po co mają świecić tak wyraziście gościom z powietrza jak lustrzana tafla.

Tu wbijają czternaście pali żelazobetonowych, zakładają poduszkę betonową, na której wesprze się przyszła konstrukcja. Tam pokazują nam miejsce, w którym stanie prasa o sile 1.000 ton, tamta znowu będzie miała siłę 2.500 ton, a tu miejsce obliczone i zarezerwowane na nie zamówioną jeszcze prasę o sile 5.000 ton.

Zakłady będą zatrudniały 4.000 robotników. Ubezpieczalnia społeczna przygotowuje się na ubezpieczenie 12.000 osób. Dla tych robotników oglądamy wznoszona kolonię, zaopatrzoną w kanalizację, pralnie, łaźnie, kasyna, boiska,



Niwelacja terenu pod budowę pawilonów w Stalowej Woli

Owe kolonie mieszkalne rozłożone są wachlarzowato nad terenem zakładów. Najprostszymi i najkrótszymi drogami spływać będzie i odpływać w rytmie codziennym fala ludzka dążąca do pracy.

Zakłady będą produkowały niemal dwakroć tyle, co dziesięcioleciaми wznoszona huta Baildon.

Pierwsze maszyny w Zakładach ruszyły w styczniu 1938 r.

Więc w styczniu, po trzymiesięcznej nieobecności, przyjechałem ponownie obejrzeć COP z wycieczką posłów i senatorów.

Ruszyło się w okolicy

Ależ się ruszyło w okolicy... Wskazywano mi chłopą, wyrobnika i nędzarza, który miał pół morgi gruntu i owe pół morgi to była górka piasku. Śmiech i tyle.

Co się robi? Od rana do wieczora przed tą górką stały ogonki furmanek, a chłopina inkasował za piasek 300 zł. dziennie.

– To pan jest zadowolony?

Gdzie tam! Żre go myśl, że za tanio pierwsze fury sprzedawał. Życie i świat mu się już zrobiły niemiłe z tego myślenia.

W Pławiu, wioszczynie wegetującej przed rokiem w tych tu sośniakach i piaseczkach, zastałem już z dziesięć klitek z papierosami itp., z „kapitałami obrotowymi” po kilkadziesiąt złotych, które to kapitały robią omal co dzień stuprocentowy obrót.

Chciałbym i proszę bardzo, aby kiedy fundament pod pierwszy dom handlowy będzie zakładany w Pławiu – zakopano w fundamentach łącznie z aktem erekcyjnym i paru groszakami „z epoki” tę moją książeczkę. Niech, kiedy w jakiejś dalekiej przyszłości, przekopując „metro”, odnajdą skrytkę – natrafią na tę legendę o ich mieście; niech zanoszą do salonów fryzjerskich fotografię pioniera-fryzjera, którego szyld na chałupie fotografuję i niech pokażą rozbawionym gościom; niech właściciel salonów powiesi sobie między lustrami wyciętą fotografię i niech zaopatrzy ją podpisem, wyjaśniającym, że znalezisko



Spawanie stalowych konstrukcji

pochodzi z okresu, kiedy samolotów prywatnych nie było, o telewizji obywatele pojęcia nie mieli, a pod domki Pławia w tęgie mrozy przybiegały zajęce i obgryzały korę z drzewek.

Wiceminister Spraw Wojskowych, gen. Litwinowicz, wygłasza referat o Zakładach Południowych.

Kiedy się go słucha – ma się wrażenie, że to my właśnie odkopaliśmy dokument z nieprawdopodobnej, baśniowej, odległej epoki. A przecież... było to tylko przed osiemnastu laty!

Generał nam uprzątnia, że w okresie 1919–20 armia polska dokonała największej improwizacji zaopatrzenia, jaką zna historia wojen.

W szopach kleconych na prędcie rozbajaliśmy nieużyteczne, pozostałe naboje. Wytapialiśmy z nich materiał wybuchowy.

Podolanin Markiewicz, klnąc siarczyście, pod dachem z tarcie warzył rtęć do wyrobu kapiszonów.

W polu żołnierz miał kilkanaście typów karabinów.

Tak się poczynąło.

I z tym się wojowało w krwawe dni sierpniowe.

Kiedy się wojna skończyła – mieliśmy kraj zniszczony, pusty i rozbrojony. Żadna tu od 1831 r. w żadnym z zaborów nie pracowała fabryka broni.

Ani złota nie mieliśmy na kupno, ani wolnych dróg na transport.

Jedno było szczęście w nieszczęściu; mieliśmy wolne ręce w wyborze typu. Nałazili nas agenci demobilów obcych – sama tylko Francja trzy miliony karabinów miała na zbyciu. Trzęśliśmy uparcie łbem, oganialiśmy się od ofert, a ten łeb myślał jedno:

Wizja Polski Zbrojnej Samodzielnej.

Wspomnienie Staszica i Lubeckiego

Przypomniany został dawny polski rejon hutniczy wzdłuż rzeki Kamiennej i Sielpia Wielka nad rzeką Czarną w powiecie Koneckim, której starodawne zakłady przemysłowe, piece zagrzewające, piece pudlarskie oraz wodne urządzenia napędowe o nadzwyczaj ciekawej a oryginalnej konstrukcji, zabezpieczaliśmy jak relikwię – czasem nowym, huczącym milionami volt i HP na znak.

Odsloniły się oczom narodu, który znów ruszył do pracy, tragiczne ruiny w Bobrzy nad rzeką Bobrzą w powiecie Kieleckim, imponujące ogromem prac: spiętrzenie wód i roboty przygotowawcze do budowy wielkiego zakładu hutniczego w pięciu wielkich piecach. Projekt Staszica, realizowany przez Lubeckiego, zawalony przez 1830 r.

O tym myśleliśmy, gdy opuszczali nasze progi skwaszeni międzynarodowi handlarze

Początki przemysłu zbrojeniowego

Jako pierwszą fabrykę karabinów uruchomiliśmy zakłady „Gerlach i Pulst” w Warszawie zdewastowane i ewakuowane przez zaborców.

Powołaliśmy niebawem Państwową Fabrykę Karabinów, Wojskowe Warsztaty Amu-

nicyjne, Zbrojownię, prywatne fabryki amunicyjne – „Pocisk” w Warszawie i „Nitrat” w Niewiadowie, jako pierwsza wytwórnia materiałów wybuchowych.

Wracaliśmy do tradycji polskich, do terenu przez układ geopolityczny wskazanego na centrum przemysłowe kraju.

Już w 1920 zawieramy umowę ze Starachowicami na budowę Wytwórni Amunicji karabinowej i działowej.

Posuwamy się stopniowo w dół terenu. Powstaje wytwórnia prochu i materiałów kruszących w Pionkach, Fabryka Broni w Radomiu, Fabryka Amunicji w Skarżysku.

Pocynamy wchłaniać, całkować stadia stopniowe, którymiśmy szli: fabryka w Skarżysku wchłania i fabrykę kapsli-kapiszonów w Toruniu, nad którą się tak napocił pan Markiewicz z Podola (jeden z obecnych dyrektorów) i wytwórnię zapalników w Warszawie i fabrykę Amunicji Karabinowej w Warszawie.

Fabryka w Skarżysku robi jeszcze jedną wzruszającą adaptację: w Bzinku też była pozostałość – jak Sielpia, jak Bobrza – śluza z kamiennych bloków, łączonych na ołów; przy budowie Skarżyska postawiono na niej turbinę pomocniczą, oświetleniową na 100 koni.

Tak młody dziedzic, obejmując rządy, nie chce się zbywać starego sługi i daje mu lekką pracę.

W 1924 w Zakładach Ostrowieckich ustawiono agregaty do tłoczenia ciężkich pocisków armatnich. W tymże roku powstaje koncepcja Mościc, bo Chorzów leży zbyt blisko granicy.

A potem powstają jedne po drugich: wytwórnia masek przeciwgazowych w Radomiu, Fabryka Węgla Aktywnego w Skarżysku, „Granat” w Kielcach, fabryka płatowców w Lublinie (który również leży na terenie COPU).

Wspomnienia legionowe

Kiedy słucham tego spiętrzenia cyfr, dat i faktów, myśl moja odbiega daleko wstecz – jeszcze dalej, niż do lat improwizacji 1919–1920 r. Widzę pierwszą Kompanię Kadrową, jak brnie wybojami szosy na Słomniki. Same młode „dłubinoski” łącznie ze swoim dowódcą ob. „Zbigniewem” – Tadeuszem Kasprzyckim.

Tylko po boku drogi, miażdżąc wyłazający ciekawie tymianek – brnie intendentura jednoosobowa w wieku hm... tatusiowym.

Kompania ryczy:

*A obok kolumny nasz intendent kroczy
Każdy by pomyślał, że się beczka toczy
Gęba jak księżyc, wściekle okulary
Niech nam żyje długo nasz intendent stary.*

Sam generał Litwinowicz tak o owych czasach pisze:

„Otrzymałem rozkaz zorganizowania wyżywienia dla kompanii i następnych oddziałów, które przekroczą granicę.

Równocześnie otrzymałem asygnatę na pieniądze. Cyframi i słowami wypisana na niej była kwota: sto koron.

Kwota wydała mi się za małą, w kieszeni miałem własnych 70 koron, dołączyłem je do pieniędzy skarbowych.

O czwartej rano szóstego sierpnia wyruszyłem z Kompanią Kadrową. W kasie pierwszego regularnego oddziału polskiego wojaka było 170 koron. Nic wiem, czy historia notuje podobny wypadek.

Do wyżywienia miałem na razie 163 ludzi i 7 koni. W sierpniu 1920, w siedem lat później - w okresie najcięższych walk w obronie odzyskanej już niepodległości żywiłem 1.400.000 ludzi i 170.000 koni, ubierałem zaś około 1.100.000 ludzi.

Takiej kariery historia nie notuje”.

Uśmiecham się do wspomnień, do tego ubierania zwłaszcza... W moim oddziale w 1920 r. żołnierze paradowali w jakichś przedwojennych belgijskich płaszczach szafirowo-niebieskich ze złotymi guzikami.

Ale czyż nie śmieszniej jeszcze było dawniej, kiedy maskowało się ogień tyraliery... klaskaniem w dłonie. Wreszcie w 1910 r. przyszły szef intendencji polskiej, inż. Litwinowicz, otrzymał pierwsze czterdzieści karabinów. Karabiny były nowiutkie M95, wydano je tylko tak godnej osobie jak właściciel biura ogrzewania centralnego „Litwinowicz i Wyleżyński” S. O.

Jako taki rozporządzał też biletem rocznym kolejowym, okoliczność niemało ważna,



Przyszła „Pralnia centralna” S.A. w Pławiu - na razie...

jako że rozkaz mobilizacyjny do Krakowa z chwilą wybuchu wojny wysłano właśnie ze względu na oszczędność przez gen. Litwinowicza.

Podczas gdy tak dobrze sobie poczynął w Okręgu Lwowskim gen. Litwinowicz, myśmy w Okręgu Krakowskim „Strzelca” dłużej musieli klaskać, udając strzały. Pamiętam takie ćwiczenie bez broni pod Skawiną. Była lekka kontrowersja między obecnym marsz. Śmigłym-Rydzem, a Kordianem Zamorskim vel „obywaletem Ignacem”, kto ma prowadzić pluton: jeden drugiemu kurtuazyjnie ustępował komendę. Poprowadził Śmigły, pouczywszy o maskowaniu się w terenie; mając ręce wolne, ciągałem za sobą chojaka, którego stawiałem przed sobą na gwizdek oznaczający „padnij”. Póki chojak stał, nasz „plutonowy” chwalił, że „obywatel dobrze się maskuje”. Kiedy jednak na gwizdek porwałem się z chojakiem, orzekł, że na prawdziwej wojnie tak nie pójdzie, bo cóż z karabinem zrobię?

Po te karabiny wysłano wreszcie do arsenałów austriackich Sawę (obecnie płk. Machowicz, k-t miasta Warszawy) z oddziałem strzelców.

Sawa, elegancik w sztylpach, piastujący rangę porucznika (czerwone patki), odwał fason idąc chodnikiem, a mnie kazał prowadzić oddział.

Z czworoboku budynków z czerwonej cegły, kiedyśmy wkroczyli na podwórzec zeughausu, wysypały się dziady austriackie, wywalają trepy gały, co też to za cywil-banda wkroczyła.

Wydałem komendę z fasonem i moi dzielni żołnierze rozłamali się kto do sasa kto do lasa. Myślałem, że mnie nagła krew zaleje.

Generał skończył referat. Wracam do rzeczywistości.

W dużej sali Zakładów Południowych siedzi dostojne grono. Przed nim na fotelu przewodniczący wycieczki Marszałek Senatu p. premier Aleksander Prystor. Poklasyfikowała się, zhierarchizowała się Polska, opierzyła się Niepodległość.

Pod ścianami stoi sznur młodych inżynierów. Tu też inaczej wygląda, niż ongiś w spółce „Litwinowicz i Wyleżyński”, w której jako inżynier pracował tow. Emil (Ignacy) Boerner, były dyktator Republiki Ostrowieckiej (trzydniowej), jako monter-bojowiec, późniejszy poseł Arciszewski, jako magazynier – późniejszy komunistyczny poseł pierwszego sejmiku Królikowski.

Można pracować równiej

Ci chłopcy, tak jak i całe państwo, mogą już pracować równiej, w warunkach uporządkowanych. Im jednak równie będzie potrzebna, jak tamtym, niezbędna w każdej epoce i w każdych okolicznościach – silna wola, chęć dopięcia zamierzeń.

Dlatego szczęśliwy był pomysł, że miejscowość, w której będzie się produkować stal, stworzona od nowa pośród lasów, otrzymała nazwę – **Stalowa Wola**.

Temu, co się robi – na znak i tym, którzy rosną – na otuchę.

Nasz Dziennik, 23 lutego i 2 marca 2001

p.t.: „Budowa Stalowej Woli”

9. PZL i Cegielski w Rzeszowie *

Na podgórzu Karpat

Jeśli jedną nóżkę cyrkla ustawimy na ujściu Sanu do Wisły, więc tuż przy stolicy okręgu, Sandomierzu, a drugą zatoczmy koło o promieniu stu kilometrów, to obwód koła pójdzie, licząc od południa na zachód, mniej więcej Pilznem, zostawiając Tarnów nieco w głębi, przez Tuchów, Brzesko, Działoszyce, zostawiając w głębi nieznacznie Jędrzejów, Kozienice, Chełm i Zamość zostawiając nieco w głębi, przez Hrubieszów i znów nieco w głębi zostawiając Chrzanów, Jarosław i Rzeszów.



Przedwojenny Rzeszów

Wjeżdżamy do tego ostatniego. To tu już rozpoczynają się skaliste podgórza Karpat, w które poczyną przechodzić nadwiślańska równina.

Rzeszów, „jedno z najpiękniejszych trzeciorzędnych miast Galicji”, jak głosi Wielki Słownik Geograficzny, za czasów polskich, jak i niezapomnianej pamięci austriackich, żył sobie spokojnie w cieniu zamku Ligęzów i Lubomirskich, przebudowanego przez rząd cesarsko-królewski na więzienie. W głównych ulicach i w rynku wznosiły się statecznie jedno i dwupiętrowe kamieniczki, w bocznych ulicach rustykalną, polsko-szlachecką modłą, adoptowaną przez Żydów, wznosiły się murowane dworki. Do Wisłoka schodzi, jak i od niepamiętnych czasów schodziła, brudna dzielnica żydowska i dlatego może podróżujący po Galicji w 1803 r. Bredelski skarży się, że Rzeszów jest brudny i nazywa go galicyjską Jerozolimą.

Ów Moj-Rzeszów, galicyjska Jerozolima, na szlaku między Krakowem a Lwowem leżąca, musiała sobie widać, jak mogła, pomagać w szlachetnym kunszcie złotniczym, który się w niej począł, skoro tombak otrzymał nazwę „rzeszowskiego złota”. Miasto wegetowało w biedzie, w drobnym przemyśle i handelku, w lojalizmie austriackim i patriotyzmie polskim

* W oryginale tytuł: „Siekiera-motyka-piłka-kleszcze”

autonomicznym. W rocznice świąt narodowych rajcowie dawali upust nieszkodliwym wylewom patriotycznym, w uroczystości cesarskie c.k. starostowie zanosili przed tron uczucia ludności. Jeden z tych, dostojników, kreiskapitan Riedheim, na studni stojącej w rynku wyryć kazał: Senatus pupulusque reszowiensis. I „Senatus” zresztą i „pupulus” w tym emeryckim mieście nędzy galicyjskiej przedstawiały się niebogato. Targi odbywały się we wtorki i piątki, jarmarki na św. Trójcę, 23 kwietnia, 17 lipca, 21 września, 21 grudnia: zboże, bydło, nierogacizna, konie z niedalekich: Pobitnej, Rudki, Staroniwy, Wołkowyji, Załęża, Zwińczyc.

Fabryka silników PZL

Obecnie wjeżdża do Rzeszowa lśniący orszak Buiców i Fiatów, za nimi suną trzy wielkie autobusy P. K. P. Podążamy do ogromnego kompleksu fabryki silników P. Z. L., w ciągu trzech miesięcy prawie pod dach wzniesionej, która zatrudni dwa tysiące robotników. Sama fabryka zajmuje 21 ha, pas bezpieczeństwa 10 ha oraz 20 ha kolonia dla pracowników, w której stanie 1.000 izb.

W trzy miesiące po pierwszej bytności znowu zwiedzałem Zakłady. Był styczeń. Znikły już „duhy” „Olendrów”, którzy wrócili za Bug. Roboty placowe przeniosły się do wewnątrz. Młody inżynier brnął ze mną od pawilonu do pawilonu i wyliczał ze smakiem:

– Zużyliśmy dotąd 12.000 ton żwiru, 2.280 ton cementu, 825 ton żelaza, wznieśliśmy 2.600 metr. sześciennych muru.

Rzekłbyś – smakosz rozpamiętywa menu, które pochłonał.

Fabryka Cegielskiego - obrabiarki

Potem jedziemy na drugi koniec miasta do fabryki Cegielskiego, którą poczęto budować 20 kwietnia 1937 r. wyzyskując pozostałości starej zbrojowni poaustriackiej.

Kiedy tam ogłądałem w tym Okręgu Centralnym zakład po zakładzie, mam wrażenie, że Polska, to jest jakaś wielka, w mrok, w niewiadome poza granicę Okręgu Centralnego rozciągająca się bibuła, chciwie wchłaniająca każdą kroplę produkcji, jakaś pustynia o niezmiernym stopniu chłonności.

Po podwórku, na którym latami ziewały austriackie zupaki, lub brzuchate feldfeble, mówiące z kroacka po wiedeńsku, amciły klajster komiśnej roboty – idziemy ku gorejącej w ciemni nocnej, olbrzymiej 11.000 metrów liczącej hali. Już idzie fabryka!

Ten tylko, kto jak my stanął w podwórku do niedawna zapuszczonej zbrojowni austriackiej, na której wyrastają pawilony nowoczesnej fabryki i iskry błękitne przebiegają nad lśniącymi odwłokami obrabiarek – może złapać ten punkt zwrotny, który przeżywamy, symbolizujący się niejako tu na tym błotnistym placu.

W rozdziale o sztucznym kauczuku piszę o schyłku epoki żelaza, w której żyjemy. Ale na schyłku, jak to zwykle bywa, następuje rozkwit najwyższy, finezja, specjalizacja.

Kiedy gruszki Bessemiera udostępniły najszerzej stal, epoka żelaza bezapelacyjnie wcisnęła się we wszystkie komórki ludzkości. Nie widziałem już w Nalibokach po prawdzie

wydobywanej po prostu łopatą rudy darniowej. Ale na tratwach sunących białoruskimi rzekami spotykałem przyrząd prymitywny – deskę umocowaną górą, od niej sznur i pedał; deska dawała energię dla skobla superprymitywnej tokarki. Flisak naciskał pedał nogą, po czym podsuwał obrabiany klocek i puszczał pedał. Dyrektor Piotrowski ze Stow. Mechaników mówił mi, że tego rodzaju urządzenie widział reprodukowane w jakimś czasopiśmie niemieckim jako znalezisko archeologiczne w grobach egipskich.

A tymczasem załączona tabela wskazuje jak z każdym rokiem niemal rozwijają się i ulepszają typy obrabiarek,

Obrabiarka – to jak klacz rozplodowa: jak taka klacz bezpośrednio nie służy, a tylko daje generacje zwierząt pociągowych, tak samo obrabiarka jest przeznaczona po to, aby zapewnić produkcję całego przemysłu metalowego: fabryk maszyn, taboru kolejowego, broni i amunicji, lotnictwa, przemysłu elektrotechnicznego, rzemiosła ...

Kiedy odzyskaliśmy Niepodległość – Polska była bliższa tej drewnianej tokarenki na jakiejś Berezynie, niż tych tablic wspaniałych, katalogów tysięcy obrabiarek, które nęcą oko.

Byliśmy obrabowani do cna z maszyn, ale nie obrabowani z ludzi. Spłynęli zewsząd: ze Szwajcarii, z Francji, Rosji, Ameryki.

Inżynier polski na obczyźnie widział wielki rozmach, przywykł do wielkich robót. W czasie wojny sprawy obrony spoczywały na jego barkach. Przywykł, pracując w wielkich państwach, patrzeć w przyszłość, planować.

Inżynier ten nie znajdował warunków do pracy we własnym kraju, w którym mu przez długi czas nawet nie wolno było zrzeszyć się w Zrzeszenie Zawodowe. W warszawskiej restauracji Norkowskiego, tam, gdzie obecnie postawiono hotel Bristol, zbierali się pierwsi pionierzy – Gustaw Kamiński, Feliks Kucharzewski, Diehl Puciata, Marconi, aż wreszcie z tych pogawędek i rojeń współczesnych Wokulskiemu powstał w 1874 r. Klub Techniczny, bo na nic innego władze nie zezwoliły.

W 1898 r. jeszcze mają dopiero 60 członków, ale w 1900 już 583, a w chwili wybuchu wojny 1.718.

W tym koło czterystu inżynierów Polaków mieszkających i pracujących w Rosji.

W listopadzie 1918 r. ważne posiedzenie odbywa się we własnym gmachu Stow. Techników. Zasiedli na sali członkowie ze wszystkich stron świata. Trzykrotnie zakładano w Warszawie Politechnikę i trzykrotnie zamykano. Ostatnie dziewięć lat świeciła pustkami od Polaków, bo była przez młodzież opuszczającą szkoły polskie bojkotowana. Jechali do Lwowa, do Szwajcarii, do Francji, do Belgii, do Anglii, a nawet na politechnikę w Mediolanie. Ankieta przeprowadzona wśród 710 członków Stowarzyszenia wykazała, że są oni wychowancami 195 różnych uczelni technicznych w Europie.

Teraz zjechali do Warszawy i podczas, kiedy po kraju młodzież uganiała się jeszcze za ostatnimi Niemcami, zasiedli w tym pięknym gmachu na ul. Czackiego, w gmachu, który wieńczy grupa Ikar, szybującego ku słońcu.

Na pięknym frontonie polatywał Ikar, na ulicach mżył listopadowy deszcz, w duszach ludzi zebranych trwała wizja straszliwa zniszczonej, obrabowanej Ojczyzny.

I wówczas inż. E. T. Geisler, inżynier wywiezionej bezpowrotnie do Rosji fabryki Gerlacha i Pulsta, wygłosił referat o potrzebach obrabiarek dla Polski.

Pan inż. Geisler liczył ostrożnie, a jednak krajał szeroko. Obliczał potrzeby obronne trzydziestomilionowego kraju, długość sieci kolejowej, zastanawiał się nad uprzemysłowieniem Niemiec przedwojennych, pragnąłby, żeby do tego poziomu Niemiec przedwojennych Polska doszła po 15–20 latach. Wypadało mu wtedy z obliczeń, że Polska wówczas będzie musiała produkować rocznie po 2.432 sztuki obrabiarek o wadze siedmiu milionów kilogramów.

Polska instalowała już tę ilość nie w dwadzieścia, a w jedenaście lat potem.

To była jedna fala – ta inżynierska.

Ale przyszła druga – dolarowa. Zdawałoby się – czegoż więcej pragnąć ?

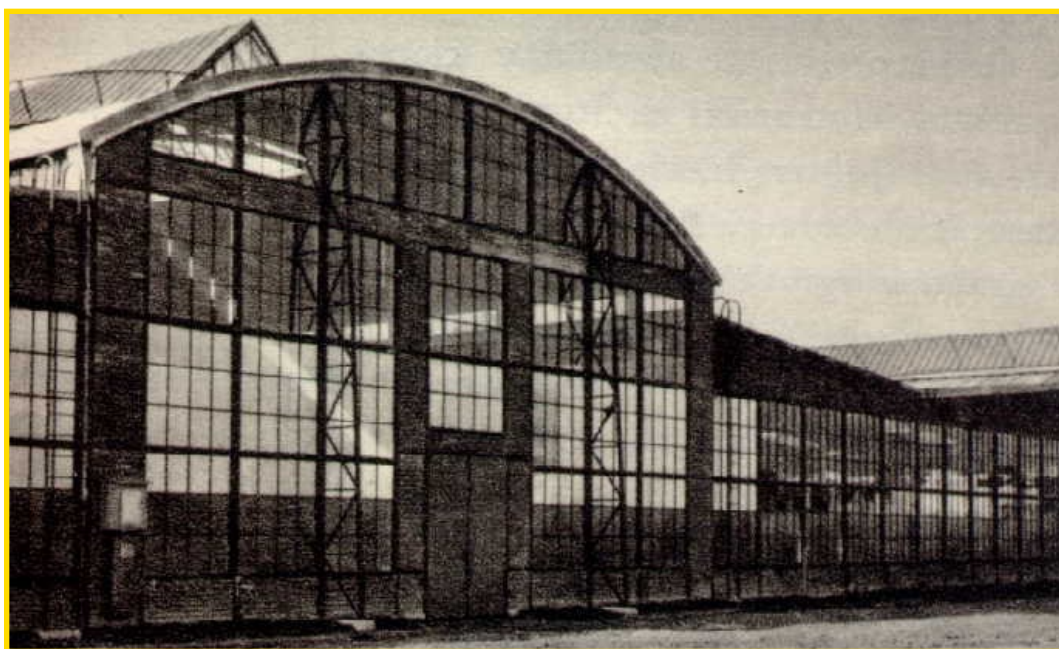
Niestety, w tych pierwszych latach byliśmy w okresie ząbkowania.

Naszych rodaków w Ameryce, zubożonych robotników, majstrów, rzemieślników i sklepikarzy rozpierał patriotyzm, chęć powrotu do kraju, no i dolary.

Jeden z nich - instruktor szkoły rzemieślniczej zakłada „Polish mechanics Company”. Zbiera na początek półtora miliona dolarów drobnymi udziałami i rusza przebudowywać Polskę.

Dla Polski w tamtych czasach jeden dolar, to taki gmach pieniędzy, że zda się, wszystko za niego można kupić. Pocziwcy o poziomie majstrów tracą głowę. Kupują fabryczki w Pruszkowie i Porębie, fabrykę traktorów w Wiedniu (będziemy orać w Polsce tylko traktorami...), kupują, zakładają co się tylko da: dwie cegielnie, dużą drukarnię, niezliczoną ilość elektryfikowanych maszyn do szycia (robotnik będzie mieszkał w falansterach...), zakładają własny bank, kooperatywę handlową...

Od sui generis Gajowców pojankesowanych odsuwają się z przerażeniem fachowcy. Fabryka traktorów w Wiedniu, którą Stow. Mechaników prowadzi na razie w Wiedniu, nim nie zbuduje tutaj odpowiedniego korpusu fabrycznego, okazuje się oparta na nierealnym patencie i motory są niezdatne do użytku. Ogromna fabryka traktorów, którą poczęto wznosić w Porębie na cudzej ziemi, świeci i teraz niedokończonym ogromnym korpusem



Hala fabryki Cegielskiego w Rzeszowie

100 metrów na 100 metr., w którym aż do dziś nie ustawiono czwartej ściany. Impreza kurczy się, wegetuje, zapada się i dopiero w ostatnim roku zostaje wysanowana i poczyną owocnie pracować.

Czy słusznie poświęcam tyle miejsca temu, co było?

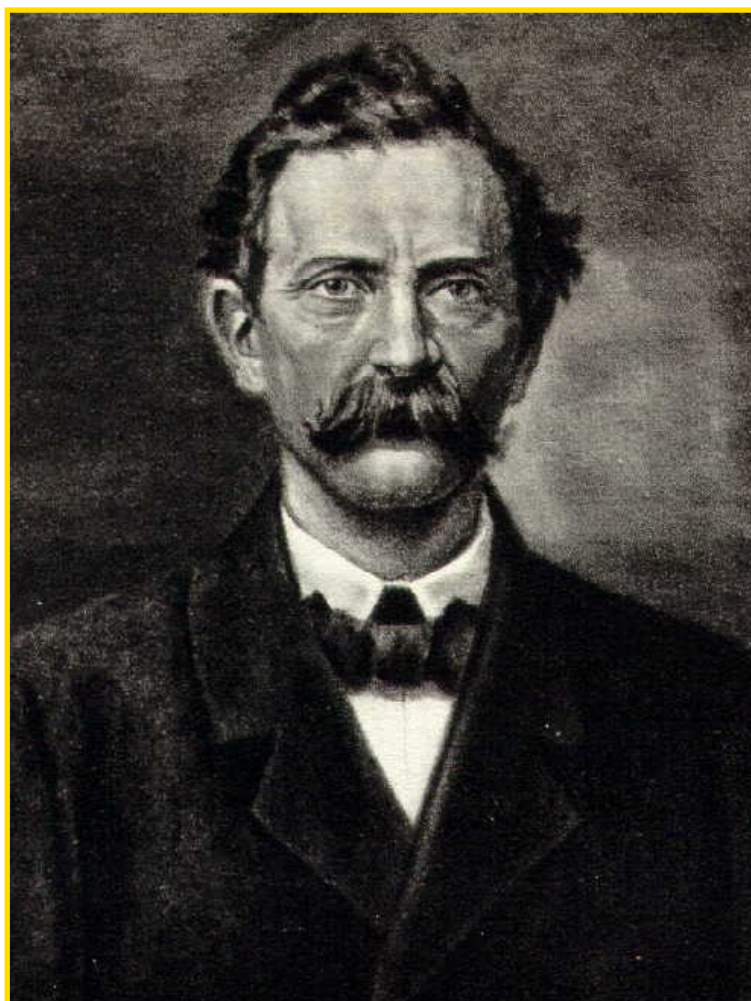
Moim zdaniem słusznie. Bo przecie Okręg Centralny budujemy na błędach i na doświadczeniach przeszłości. I im ta przeszłość miała więcej błędów, tym więcej nas cieszy teraźniejszość.

A im więcej ta przeszłość zawierała dzielności i inicjatywy, tym raźniej patrzymy w przyszłość.

Ta fabryka Cegielskiego, którą oglądamy w Rzeszowie, to dependencja wielkich zakładów poznańskich.

Saga o Cegielskim

W 1846 r. ubogi profesor gimnazjalny, Hipolit Cegielski, uczeń Hegla, rozmiłowany w poezji romantycznej i w klasykach Polski Niepodległej, zostaje wydalony bez emerytury za zbyt gorący udział w „Wiośnie Ludów”.



Hipolit Cegielski (1813-1868)

Zakłada tedy, by nie zginąć z głodu, kramik z żelazem na rynku Poznańskim.

Ta moja książka może zdać się niektórym „pochwałą stanu inżynierskiego” z ujmą dla humanistów. Niechże wówczas ci ostatni przypomną Cegielskiego. Gdyby, zamykając wieczorami swoją „kamerę” nie zagłębiał się w Trentowskim, Cieszkowskim, gdyby nie wyleciał za zbyt wyraziste komentowanie ody do młodości, do tej młodości, która ma podać skrzydła – jużciż zostałby w swojej „kamerce”, skazany przez całe życie na targ zawzięty o liche fenigi, opuszczane na kosie, czy na łopacie.

Ale oda do młodości pomogła, dając na razie nie tyle skrzydła, ile skromny warsztatik pługów. Ale Cegielski, według słów J. I. Kraszewskiego, „umiał kuć żelazo i rozgrzewać się poezją”. Z tego, kiedy umierał w 1868 r., była już wielka fabryka, zatrudniająca 400 robotników, z tego teraz, w 1938 roku...

Zapotrzebowanie na obrabiarki

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Polska potrzebuje obrabiarek za 30 milionów rocznie, gdy krajowa produkcja nie była w stanie zapewnić jej więcej, niż za 6–7 milionów.

Połączone wysiłki fabryk Johna, Stefańskiego, Kruszego, Paschalskiego, Zieleniewskiego, Stow. Mechaników i innych nie były w stanie zwiększyć produkcji.

Tymczasem zapotrzebowanie świata wzrasta w gwałtownym tempie.

Niemcy, Anglia, Stany Zjednoczone – dają zamawiającym terminy dostaw od 8 do 12 miesięcy. Niemcy produkują obrabiarek za pół miliarda rocznie.

Polska już przekroczyła swymi zapotrzebowaniami szczytowy punkt 1929 r.

Obecnie przeznaczono nowe kredyty, rozdzielono między wyżej wyszczególnione firmy plan produkcji.

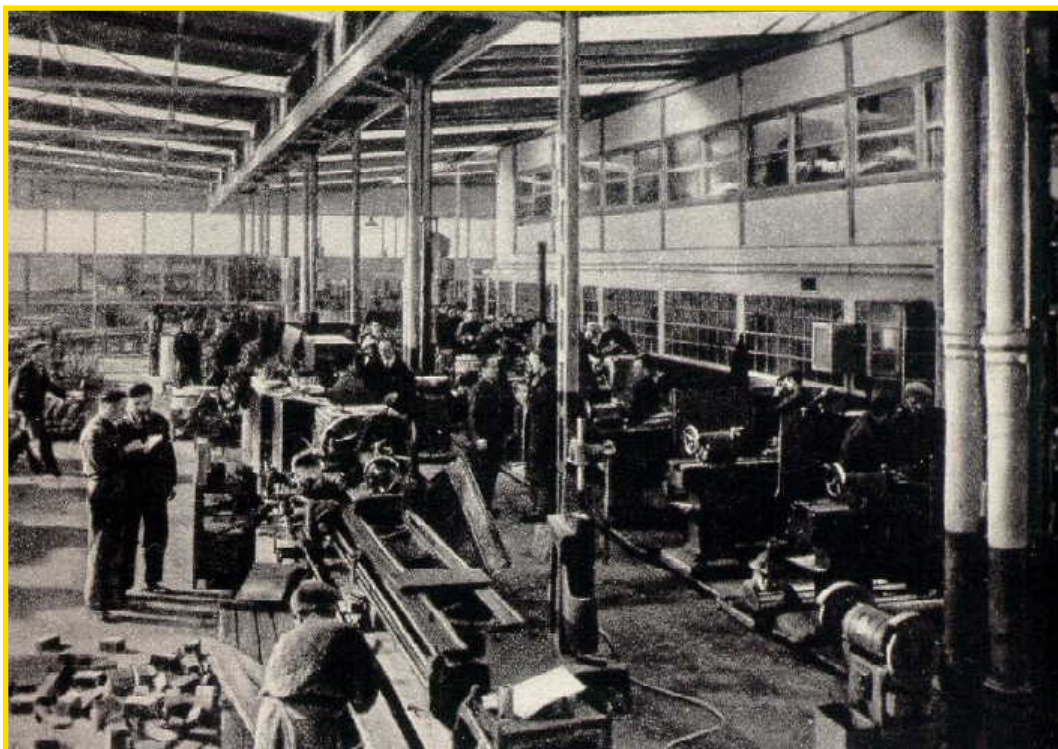
Na rok 1939/40 produkcja obrabiarek w Polsce wyniesie 30 milionów. Ale jeszcze 20% obrabiarek przez dłuższy czas będziemy musieli sprowadzać.

Fabryka Cegielskiego w Rzeszowie otrzymuje maszyny z pieniędzy, którymi Niemcy spłacają 70 milionowy dług za zamrożone należności transportowe, które ma u nich Polska.

Przez hartownię (piece indukcyjne i oporowe od 80 do 1.400 stopni Celsjusza) wchodzimy na halę maszyn. Od czasu poprzedniego mego pobytu przybyły szlifierki do gwintów, toczące z dokładnością do jednej dwuchsetnej milimetra. Podziwiam szlifowanie tak precyzyjne, że nie daje różnicy ponad dwa mikrony (mikron – tysięczna część milimetra), tarcze karborundowe, (węglik krzemisty – dorównywa niemal brylantowi) – i tarcze z korundu, bezbarwnego szklatego minerału, twardego jak diament, sprowadzanego z Cejlonu, ze Siamu, z Birmy.

Podczas, gdy pewna część maszyn jest jeszcze w drodze, inne są jeszcze w montażu, ale ogromna większość już w ruchu: strugarki, wiertarki promieniowe, frezarki, tokarki wielonożowe, rewolwerówki, szlifierki...

Przesuwamy się wzdłuż maszyn wierzących, heblujących, tnących. W oczach naszych bloczki stali przybierają formy trybów, dźwigów, kółek, suwaków, które pójda w świat



Hala obrabiarek

i będą pracowały po najmniejszych warsztatach, do których prądu dostarczy Rożnów, gazu rurociąg, – będą wypełniały głodną maszyn Polskę.

W pewnym miejscu stalowy cylinder obraca się naokoło swej osi. Hebel stalowy, zakończony ostrzem „Widia” ze specjalnego stopu (Wie Diamant), który płacimy po 600 zł za kilogram Kruppowi (głosy oburzone: „bardzo przepraszamy, już Baidon w Polsce wyrabia nie gorszy”). Cieniutka rozgrzana strużyna odwija się ze stalowego cylindra, który zwęża się przy końcu w drapieżny kształt.

Tu poglądowo widzimy postęp uwidoczniiony na tablicy na 90 str. W 1890 roku maszyna jednym naostrzeniem noża zbierała 2,2 kg wiórów–obecnie: 224 kg.

–Co to pan robi? pytam tokarza.

– Et, taki tam kawałek – uśmiecha się do mnie; siwe oczy patrzą znad kombinezonu przyjaźnie i porozumiewawczo.

Większość obrabiarek już napłynęła z Niemiec. Stanie ich razem trzysta. Obecnie już pracuje 1.200 robotników (nie licząc 150, którzy wykończają roboty budowlane), 180 inżynierów, techników i urzędników.

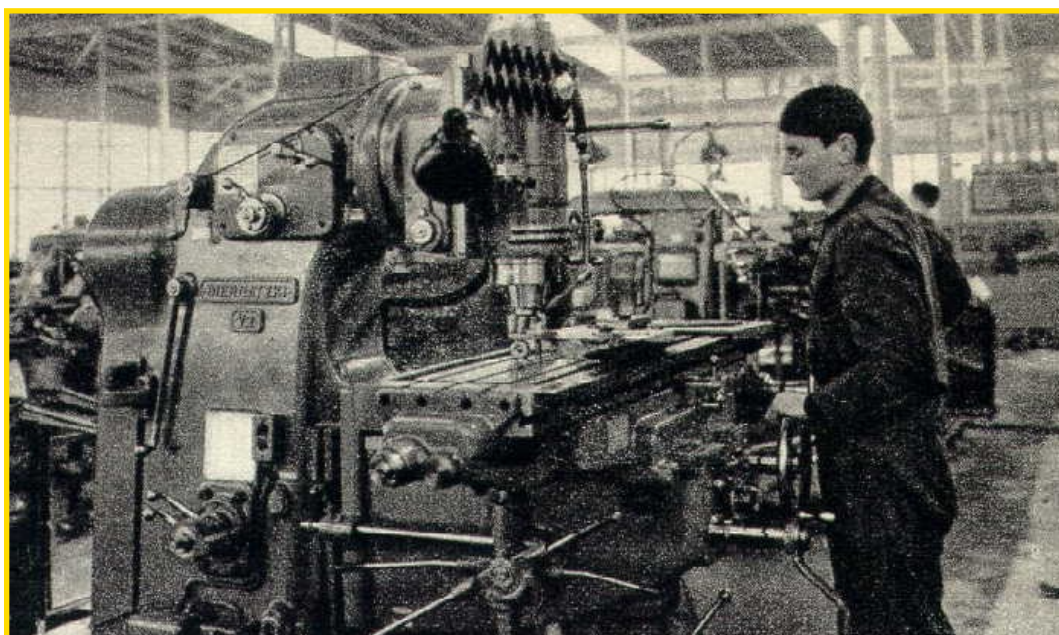
Gdy zakłady całkowicie ruszą, będą zatrudniać tysiące przeważnie kwalifikowanych robotników.

Szkolenie zawodowe

Ci robotnicy będą podciągani na dobry kwalifikowany poziom. 200 chłopaków kształci fabryka na założonych przez siebie trzy i półletnich kursach technicznych. Już około 400 takich absolwentów pracuje w zakładach Cegielskiego, które, łącznie z centralą Poznańską, liczą 6.000 ludzi.

W części hali fabrycznej urządzono przyjęcie dla naszej wycieczki. Podczas, kiedy posilaliśmy się, stał dookoła zgrzyt maszyn, zapalały się po przewodach, po sygnalizatorach fioletowe światelka, wyskakiwały girlandy iskier, pracowali robotnicy.

Za stołem siedzę z działaczem rzeszowskim. Pasjami lubię mówić z działaczami miejscowymi, kiedy im co spada na głowę. Gość z zewnątrz widzi wszystko w dużym massztabie i nie ma zmartwień o szczegóły. Oni tu się martwią, że zniknie ten płótek, czy tamta łączka i otrząsają się na roje przybyszów, którzy im spokojnie zasiedziane kąty poczynają nałazić. Burmistrz Sandomierza, stary pan w tużurku, z bardzo czarnymi i podkreconymi wąsami, zwierzał mi się, że z całej tej prosperity to ma Sandomierz na razie tylko łazików, którzy zbiegają się z całej Polski szukać chleba i z którymi ma biedę opieka społeczna prześwieznego magistratu.



Tokarz przy pracy

Rozrost miasta

Rzeszowiacy się kłopotczą, że w ciągu 2 - 3 lat przewiduje się podwojenie dotychczasowej ludności, t.zn. zwiększenie jej do 50.000. Już zbudowali dwa bloki o 140 mieszkaniach (pokój z kuchnią i łazienka – 34 zł miesięcznie), ale to wszystko jest psu mucha.

Miasto handlowo-rzemieślnicze zmienia się w ośrodek fabryczno-przemysłowy. W związku z tym ojcom miasta pęka głowa: opracowanie planów zabudowy, zakup terenów budowlanych, nim nie rozhula się spekulacja bez reszty, budowa mieszkań dla robotników, rozbudowa wodociągów i kanalizacji, budowa nowej rzeźni i chłodni, urządzenie targowicy zwierzęcej, budowa hal targowych, rozbudowa elektrowni, rozbudowa gazowni, jezdni, szkół powszechnych, szpitala, budowa mostu, zaopatrzenie miasta w odpowiednią ilość zieleni...

Głowa pęka biednym, wszystkie emeryty, wcinając maczanek po handelkach, już nie mówią o Hiszpanii, przestali nawet dawać zbawienne rady dla Ozonu a deliberują, co też to się dzieje. A ojcowie miasta, jak to ojcowie. Pół roku temu robili w Min. Oświaty gwałt,

żeby liceum w Rzeszowie było koniecznie ogólnokształcące: dawnym doktorów galicyjskich szlakiem. Teraz opamiętali się, chcą odrobić i dawajcie im liceum zawodowe.

Ojcowie miasta witają pana ministra skarbu „pozdrawieniem skarbowym” (złożoną w miseczkę dłonią). Ale wicepremier Kwiatkowski mówi „niech Pan Bóg opatrzy – nie mam – nie dam – nie mogę”.

Ojcowie miasta patrzą osłupiali. Coś tak się powtarza jak z tym wrózeniem z margerytki:

Mówi wicepremier w Sejmie, wygłasza expose – to jest „kocha, lubi, szanuje...”

Przyjdzie minister skarbu w teren, – „nie chce, nie dba, żartuje.

Ale twórca Gdyni – po prostu – nauczył się na niej, że w warunkach polskiej rzeczywistości trzeba iść daleko wystrzelającymi ponad szarą rzeczywistość rzutami w przód. Rzeczywistość będzie skrzeczeć i dociągnie się. Równomierne podnoszenie poziomu skazałoby nas na degenerację.

Rzeszowianin pułkownik Leopold Lis-Kula

Kiedy wyjeżdżamy z Rzeszowa, w świetle reflektorów, wylania się pomnik. Rzeszowianin. Lis-Kula. Pamiętam, jak przyjechał do Bobrujska z rozkazu pułkownika Śmigłego-Rydza. Bobrujsk był rozkiśnięty w rewolucji rosyjskiej, w rozłogach białoruskich, w kleszczach nie-



Rzeszowianin, pułkownik Leopold Lis-Kula (1896-1919)

mieckich, w zmęczeniu polskim. Ten chłopaczek rzeszowski przyniósł nam jasny uśmiech, wolę zwycięstwa i świadomość rozkazu.

W cieniu zalegają olbrzymie zakłady silników. W pełgach ogni latarnianych, jak znak, wysoko na cokole tkwi idący do ataku Lis. W dole, w rynku układają się patrycjusze do niespokojnego snu. Wszawa biedota nad Wisłokiem przestaje butwieć.

W Pobitej, w Rudkach, w Staroniwie, w Wołkowyji, w Załężu, w Zwieńczycach ukazały się pierwsze pięćdziesięcio-złotówki...

Nasz Dziennik, 9 i 23 marca 2001
p.t.: „Polskie inwestycje w Rzeszowie”

10. Polskie koleje

– od zniszczeń wojennych do sukcesu *

Nietypowa praca

Znowu, chcąc mówić o zagadnieniu komunikacji w COPie – trzeba mówić o całokształcie sprawy. W książce, którą napisał o kolejnictwie inż. Ginsbert, a która ma się ukazać (dziękuję w tym miejscu za pozwolenie skorzystania z rękopisu), autor zastanawia się, że żadne wiekopomne dzieła w historii budowy kolei, jak np. budowa kolei przez śnieżne wąwozy Kordylierów albo przez dżungle Afryki – nie mogą być porównane z wysiłkiem przy polskiej budowie kolejnictwa.

„Boć tam miało się do czynienia tylko z naturą, względnie z dzikimi tubylcami. Podczas, gdy w Polsce trzeba było wszystko przerąbać, wzmacniać, przebudowywać, tworzyć, organizować, jednoczyć i prowadzić – właśnie w czasie wojny i to nie z dzikusami uzbrojonymi w łuki i skałkowe strzelby, ale z przeciwnikiem na wskroś nowocześnie uzbrojonym”.

Na każdej z trzech pozaborczych kolei inne byty tory, sygnały, hamulce, parowozy, wagony, przepisy ruchu, taryfy, urządzenia. Nad tym całym bric a brac zniszczonym do niemożliwości ciążył obowiązek nie tylko transportów wojskowych i żywienia armii, ale również należało zaopatrzyć w produkty pierwszej potrzeby całe dzielnice, wyniszczone przez wojnę. „Trzeba więc było wszystko niemal improwizować – od mostów do zwykłego klucza ślusarskiego i od dworca do budki zwrotniczego”.

Tor wąski na szeroki

I znowu, w to gorączkowe sklejanie, w tę improwizację z niczego, uderzyła inwazja 1920 r. Już dotacza się walec rosyjski pod dawną linię Hindenburga, spiętrzają się wycofywane parowozy, wagony towarowe, wagony osobowe, brankardy, lory, platformy – nie ma dalej drogi, stąd już poczyną się europejski wąski tor, 220 parowozów, 7560 wagonów, zalegające odcinki końcowe szerokich torów, przemysłnie wyrwane inwazji rosyjskiej, aż tu cofnięte – ma stać się łupem, łatwym łupem bolszewików, którzy natychmiast ten tabor pchną w tył i dowozić będą na front nowe mrowie, nowe masy materiału wojennego...

Zaparły się cofające się wojska nasze. Pod ich osłoną kilka tysięcy robotników wspartych przez dwa baony saperów, urzędnicy, konduktorzy, maszyniści, bileterzy, i kasjerzy, naczelnicy stacji, szefowie odcinków – wszystko to rwie szyny z to-rów, przekuwa tory na szeroki rosyjski wzór. W ciągu sześciu tygodni – rzecz jedyna w historii – zostaje przekuty tor z Bara-nowicz aż po Bąkowiec pod Dęblinem – 400 kilometrów.

Tabor jest uratowany.

* W oryginale tytuł: „Krwiobieg”



Tor szeroki na wąski

Karta się odwraca. My pędzimy bolszewików na Wschód. I znów w czasie rekordowym zostaje przekuty tor szeroki na wąski z powrotem.

Podkłady, dziurawione hakami i śrubami przy ciągłym przerabianiu, podkłady nie impregnowane, nie odnawiane przez lata wojny – zmieniają się w próchno. Zwrotnice, przerabiane przez majsterków amatorów lokalnymi domowymi środkami, przypominają jakieś muzealne Stefensonowskie okazy. Woda, brana z przygodnych studni (wysadzone wieże wodne zamienia nieraz łańcuch kubelków), daje gęsty nalot kamienia w kotłach. Węgiel, nieraz w najpodlejszym gatunku, zalewa ruszty. Po mostach, skleconych na prędcę, jeździ się „na słowo honoru”. Tu, na terenie COPu most pod Rozwadowem, tu, na terenie COPu most pod Sandomierzem – są zbudowane pospieszną sztuką saperską, na trzeszczących piramidach zpodkładów. Tylko małe parowoziki po nich puszczać można, pociągi pełzną z szybkością 5 km na godzinę. Pod Grodnem zwalony most leży w Niemnie – przestrzeń Warszawa–Wilno, którą obecnie pokonywamy w 5 godzin, wówczas się przebywa w 22 godziny. Żwir z pokładów kolejowych zabrano do urządzeń żelbetowych w transejach, piasek go zastępuje, pamiętacie? Okna nie można było otworzyć, piasek wnet zalegał siedzenia, piasek wgryzał się w tłoki, w tryby, w wentyle, żarł kolejowy inwentarz.

Tor do morza

A kiedy od tej gorączkowej pracy, gdzie nie wiadomo było, co chwycić pierwiej, którą prowadzono, skrzykując dopiero fachowców po kraju, pracując w chaosie siedmiu walut panujących w Polsce, podnosili ludzie oczy zalane potem – już im ta Polska krzyczała, że stracimy morze, jeśli się z nim nie połączymy, już trzeba było, zaraz w 1920 r. budować linie Kokoszki – Gdynia, Puck – Hel, Kutno – Strzałków.

Jakoś, Bogu dzięki, nałożyło się z trakcją. Do 1936 r. ułożyliśmy 8.000 km toru typu ciężkiego. Z piasku na torach zostało tylko wspomnienie. Schludne dworce stanęły tam, gdzie były okropne rosyjskie budowle.

Produkcja własnego taboru

Więc jak tylko ruch jako tako się wkoleił – pomyśleliśmy o własnej budowie wagonów i parowozów.

„Ludzie starsi pamiętają jeszcze te czasy – pisze inż. Ginsbert – „gdy od Solca do Żelaznej, Alejami Jerozolimskimi w górę, piał się mozolnie imponujący zaprzęg 32 koni, ciągnący na drewnianym podwoziu pięknie malowany wagon”.

Te warsztaty „Lilpop, Rau i Loewenstein” przemieniły się obecnie w zakłady zatrudniające 5.000 robotników. Tu buduje się różnego typu motowagony: szybkobieżne – do 130 km na godzinę, turystyczne, lokalne, podmiejskie; tu buduje się sypialne wozy, tu wykonano lokomotywy elektryczne, elektrowagony. Drugie z kolei zakłady „H. Cegielski i Ska” chlubią się wykonaniem kilku tysięcy wagonów pasażerskich i towarowych oraz około 400 parowozów. Zakłady „Pierwsza Fabryka Lokomotyw w Polsce” wyprodukowały 650 parowozów, dostarczyły do Maroka 12 parowozów, do Bułgarii 12, na Łotwę 9 itd.

Król bułgarski wygrywa na polskiej lokomotywie

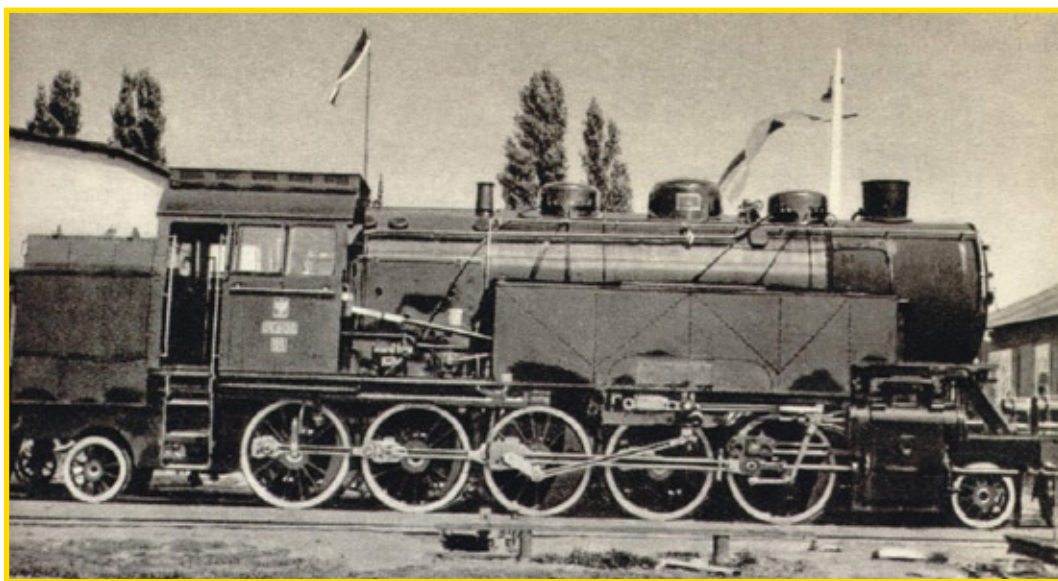
Wszedł na polską lokomotywę maszynista-amator, król Borys Bułgarski. Na równoległym torze ustawiono lokomotywy niemieckie.

Zwiększa król coraz bardziej szybkość ponad przyjęte normy – zwiększają szybkość parowozy niemieckie. Trwa niesamowity wyścig ciężkich kolosów, najnowocześniejszych maszyn, obstalowanych specjalnie dla ciężkich tras górskich.

Na polach różanych, po przebyciu przełęczy, gwizdnęła triumfalnie jedna tylko maszyna – polska!

Zeszedł król na tor – posyła dowiedzieć się, czemu to Niemce okulały?

– Najjaśniejszy panie – meldują mu po chwili – we wszystkich niemieckich parowozach wytopiły się panewki.



Parowóz 1938 r.

- I co mówią Niemcy?
- Są podirytowani. Mówią – „Es ist doch kein Avus” (Avus – tor wyścigów samochodowych).
- A co wy mówicie? – zwraca się monarcha do polskiego inżyniera.
- Mamy specjalny stop polskiego patentu.

Wielkie metalowe czteroosiowe wozy osobowe, opatrzone godłem Orła Białego, słyną w całej Europie z komfortu i bezpieczeństwa. A wielkie parowozy pospieszne, czysto polskiej konstrukcji, wzbudzające podziw fachowców zagranicznych, ciągną pociągi o ciężarze 650 ton (13 wagonów czteroosowych) z szybkością 100 km na godzinę tam, gdzie dawny parowóz niemiecki lub austriacki nie mógł przekroczyć 80 km z ciężarem 250–300 ton.

Nasz Dziennik, 30 marca 2001

p.t.: „Polskie koleje

– od zniszczeń wojennych do sukcesu”

11. Powrót Polski nad morze *

Morze a niepodległość

No właśnie – gdzie się zaczyna Niepodległość? Czy Filipiny, albo Kuba mają większą i pełniejszą Niepodległość, niż np. Irlandia, dlatego, że mają pozornie bardziej niezawisłe formy rządzenia? Czy Polska w epoce gwarantów była Niepodległa?

To nie są płonne rozważania. To jest troska najgłębsza naszego pokolenia, które ku wolności doszło i pyta siebie w dniu codziennym, jak i o ile rzetelna jest ta wolność.

Kiedy w 1920 r. granice lądowe nagle wrogo się zamknęły dla przywozu broni, a statków z amunicją nie chciał wyładować Gdańsk, gdzież była nasza Niepodległość?

A kiedyśmy po wojnie bolszewickiej chcieli wejść w rodzinę ludów i postanowiliśmy sprzedać pierwszych 100,000 ton cementu, a obce linie okrętowe, pod wpływem cementowni zagranicznych, nie chciały go zafrachtować, a my nie mieliśmy swoich okrętów – gdzież była nasza Niepodległość?

A kiedyśmy wykorzystali koniunkturę węglową i weszliśmy w 1926 r. na rynek światowy, a armatorzy obcy prawem silniejszego dobili po półtora szylinga na tonie, tak, że w 1926 r. niepotrzebnie nadpłaciliśmy 7.740.000 zł – gdzież była nasza Niepodległość?



„Bitwa pod Oliwą 1627 r. (sztych gdański)”

* W oryginale tytuł: „To nie Samossiera morską...”

A kiedyśmy przepłacali Bremie za transport bawełny, Gdańskowi za maszyny, Holendrom i Anglikom za śledzie, kiedyśmy kęsa w usta nie mogli włożyć, by nie zlatywały się chciwe harpie i nie rwały lwiej części – gdzież była nasza Niepodległość?

Dziwne, przedziwne sprawy się stały w Polsce z uzyskaniem tej pełni niepodległości przez morze. Radziły mędrce nad reformą rolną, radziły nad ustrojem, radziły nad sojuszami zagranicznymi i nad polityką mniejszościową. Polska była jak owa niewiasta z Ksiąg Pielgrzymstwa, leczona przez przeróżne doktory.

A przecież w tej sprawie, sprawie morza nie radzono, nie sprzeczano się. Naród powiedział, jak ów syn słowo nieuczone, nabrzmiało miłością i Polska dźwignęła się i poszła na morze.

Przedziwne są sprawy instynktu. Kiedy nieuczone zwierzę samorzutnie pokazuje kły, kiedy samorzutnie się leczy, kiedy instynktem odnajduje ścieżki miłości i prawa walki.

O ileż wspanialsze patrzeć, jak naród, wielka wolności, znajduje dawne szlaki. Nad nim szumią niepogody złych rządów, rozładowują się burze klęsk gospodarczych, on przecież idzie krokiem niemylnym, tak, że teraz, kiedy przychodzi obrachunek dwudziestolecia, stajemy zdumieni przebytą drogą.

Dziedzictwo Bolesławów

74 kilometry morskiego brzegu pozostało nam z dziedzictwa Bolesławów, kiedy brzeg nasz sięgał do Odry, z dziedzictwa przedhistorycznego, kiedy słowiaństwo sięgało po Łabę. Na tym brzegu kwitły polsko-słowiańskie grody – Gdańsk, Kołobrzeg, Kamień, Szczecin, Wolin...

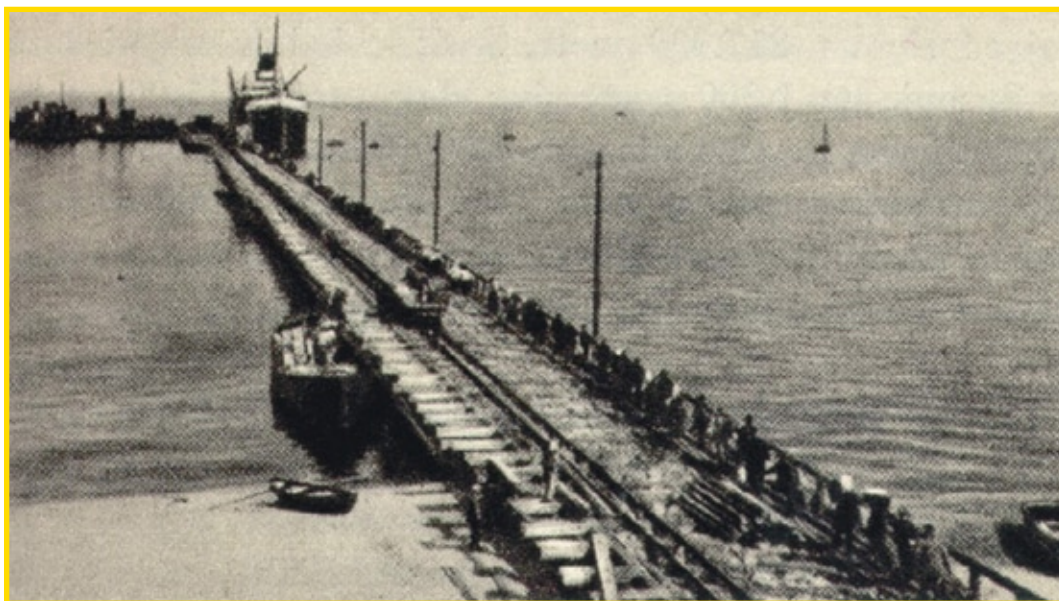
Choć się ten brzeg kurczył w toku dziejów, przecież

*Spod smolnych pachnących Karpat,
spod Tatr wyniosłych fiołkowych,
z nizinnych błot, rudawic, kujaw,
wydmuchów i lasków,
z Wołynia, Śląska, Podola, znad Wisły
i Odry płowej nad Bałtyk przemy gromadnie,
na morze, fale i piaski.*

Parliśmy nad ten Bałtyk gromadnie, spławiając na komiegach, bykach, łyżwach, gabarach, kozach i pobitkach, na lichtugach, berlinach, kryptach i batrach i tratwach dobro wszelakie, którym pęczniała Polska.

Jeno tam dalej, na pełnym morzu nam się nie sporzyło. Żeglował ci pono półlegendarny Wizymierz, wnuk Lecha, czubiąc się z Duńczyki. On to założyć miał Gdańsk. Potykał się z Duńczykami i Bolko Krzywousty, już z Duńczykami sprzymierzony, już zdobywający grody przymorskie aż za Kołobrzeg i Szczecin, nawet Rugię.

Ale potem nic do czynienia na morzu nie mamy. Wyjeżdża, wszystkim na znak, po uśmierzeniu Gdańska, Zygmunt Stary na pełne morze, ale to tylko demonstracja. A największa



„S/s Kentucky w porcie gdyńskim w roku 1923”

nasza morska wyprawa, kiedy to Zygmunt III, otrzymawszy od Sejmu 300.000 zł, ruszył w sześćdziesiąt dwu i trzymasztowców tłumić rokosz do Szwecji – kończy się klęską. Zmarował pułk piechoty węgierskiej, pułk gwardii królewskiej, kompanie niemieckie, szkockie, poczty ks. Zbaraskiego, Przerębskiego, Wołłowicza. Razem coś pięć tysięcy chłopów.

Nie powiodło nam się na morzu. Obsługiwało nas przez wieki, ale kto inny wioził po nim dobro z Polski. Śmiali pionierzy, kaprowie morscy, opieki Rzplitej zbyci, dawali szyje pod miecze zawistnych współzawodników Polski na morzu. Ścinano ich w kopenhaskich kazamatach, Gdańsk nawet uzuchwalony ściał bezprawnym wyrokiem jedenastu kaprów morskich, żołnierzy królewskich, ubrawszy ich na urągowisko w słomiane korony.

Ta słomiana korona, ofiarowana Polsce przez Gdańsk, stać się miała symbolem. Pod tej słomianej korony rządami w roku 1920 stał na Motławie czarny „Tryton”, statek angielski, ładowany amunicją dla brojącego krwią kraju, stał niemy, nieruchomy, bo Gdańsk nie pozwalał go przeładować.

Gdynia

I wówczas to poczęło się z naszej strony. Poczęło się dzieło cudowne, przemysłne, ciągłe, nieprzerwane, zgodne, mądrzejsze, niż przemijające rządy, mądrzejsze, niż skłóceni ludzie, dzieło instynktu.

To wówczas kazano okrętom cudzoziemskim podchodzić ku Gdyni i na morzu, bez falochronu, wyładowywać w barkasy. To wówczas nad fale morskie rzucono pierwszy wąty prowizoryczny pomost drewniany na palach, to wówczas pociągnięto kolej ku Helowi i poczęto się rozglądać gdzie budować port, czy podle Jeziora Żarnowieckiego, zbyt jednak ku Niemcom podanego, czy w Pucku, ku któremu by się trzeba guzdrać przez płytką maź zatoki, czy się na trzydziestokilometrowy kanał do Tczewa przepomóc, czy też wreszcie Gdynię wybrać, o której jeszcze hetman Koniecpolski donosił Władysławowi IV, że przedstawia miejsce do budowy warowni i portu „bardzo sposobne”.

To wtedy, to dopiero wtedy, po tylu, tylu latach, po tylu wiekach, powiał na Polskę silny „wiatr od morza”. I wieszczący ten wiatr Żeromski mógł, patrząc na dzieło, które się dokonuje w Gdyni, pisać: „Jakoby z ręki legendarnego kaszubskiego wielkoluda Stolema, który z Oksywskiego Półwyspu ciskał ciężkie głazy w Redłowo, sypią się na redłowskim pobrzeżu nowe, piękne osiedla”.

Teraz... Teraz gdyby Żeromski żył – zaprowadzilibyśmy go na owo miejsce, na którym, pamiętam, droga piaszczysta zakręcała koło kilku checzy kaszubskich, między kilku niezażywnymi drzewinami. I pokazalibyśmy nabrzeża długości 12 kilometrów i baseny o obszarze 320 ha, przystosowane do przyjmowania największych transatlantyków. Składy żelbetowe, składy olbrzymy, rozpiekające się na 217.000 metr. kw.; chłodnię największą w Europie na 1.200 wagonów; elewator na 15.000 ton;

75 dźwigów, przerzucających 7.500 ton na godzinę, wielkie dziedziny portu, całe jego krainy, przeznaczone każda na inny przeładunek: eksportowego węgla i importowego złomu, rudy, przemysłu rybnego...

*Tak się uniósł z wód nagle
nad torfowym moczarem
port gdyński na kesonach:
wychybany lewarem
z beltów poprzez chmur grzędy
w kamieniste dworzysko
sięgnął wieżyc rozpędem,
wapnem zlepił sklepisko,
a w nim ludzkie ramiona
zwarł stalową obręczą
i tak przęsła dokonał
ku niebieskim przełęczom!*

(Janusz Stępowski)

Nie ujrzał już Żeromski tego portu, ale największa na całym Bałtyku latarnia morska, latarnia jego imienia w Rozewiu, rzuca światło ze swoich sześciu milionów świec na zasięg 23 mil morskich. Wielka jest latarnia



Nabrzeże St. Zjednoczonych



W głębi łuszczarnia ryżu



W strefie wolnocłowej

Żeromskiego, 79 mtr., o 16 mtr. wyższa niż wieża Mariacka; a przecież rychło ją zakasuje nowa latarnia, którą wzniesiemy między Jastarnią i Helem.

To sprawy morsko-lądowe.

Ale przecież rozbudzony instynkt parł ku przestrzeniom, które łączą światy. W pamięci wskrzesiły się niewyraźne wspominki kaprów, których ścięto w słomianych koronach, gdy w tymże czasie korsarz angielski Drake grabiący hiszpańskie okręty czasu pokoju, zdobywający zuchwale nowe lądy, był popierany całą siłą państwa, uroczyście witany przez królową, obsypywany zaszczytami.

Wróciła idea cicha, samotna, już legendarna tylko Jana z Kolna. Z głębi trzewi, nie z akademij i obchodów, naród a z nim jego poeci najmłodsi, poczęli snuć hymn do morza, do wypraw dalekich, do przedłużenia ramienia ojczyzny:

*O zbudź się w nas, szczytna Religio
rycerskich ludów północy,
wołanie za którym dążył
genialny wiking Amundsen
Większą, niż ziemską Ojczyzna
bezkresną dajesz Ojczyznę
Morze, co lądy przybliżasz
i kraje i ludy obce.*

(Andrzej Madej)

Istotnie – w gruncie rzeczy jeszcze nie tak wiele odmieniło się od czasów Jana z Kolna. I dziś jeszcze np. Argentyna liczy 12 milionów, a gdyby była tak zaludniona, jak Polska, miałaby 232 miliony. Cóż za różny poziom cieczy w dwu naczyniach!

A przecież wobec postępów komunikacji, te wolne ziemie od naszych przeludnionych są – tylko ręką podać. Tej samej Argentynie lepiej się opłaciło wieść polskie drzewo z drugiej półkuli morzem, jak własne z głębi kraju – koleją.

Polski transatlantyk

Poczęliśmy budować okręty. W kwietniu 1936 roku stałem na pokładzie „Batorego”, który wysuwał się z portu Triesteńskiego w swój pierwszy rejs. Tam, w czeluściach statku nie widać, jak dawniej, jak za moich czasów jeszcze i moich podróży, mechaników, uwijających się z oliwiarkami, balansujących, by się nie dostać w łapy maszyny, z mięśniami naprężonymi, by się nie pośliznąć na lśniącej od smarów podłodze, Nie widzi się już palaczy o nagich torsach, rzucających węgiel w ziejące piece. Tu, na pokładzie nie ma krzątający, krzyków, skomplikowanych manewrów w tył i w przód, które niedawno jeszcze sprawiały, że parowiec wyruszający z portu napełniał hałasem cały port.

Cicho i sprawnie ogromny, smukły korpus motorowca wypływa z portu. Piętrzy się siedem pokładów, jaśnieje amfilada sal, fumoirów, barów nieposzlakowanym, spokojnym, dosytnym, dostalym pięknem, które wydała praca polskiego artysty.

Najpiękniejszy, - najnowocześniejszy transoceanik Bałtyku rozpoczyna swoją karierę. I jest polskim statkiem.

Niestety, nie poczyniała go praca polska od kładzenia stępy dębowej. Koło mnie stoi inżynier włoski, signor Caesare i posyła ukłony p. Cosulichowi, powiewającemu z moła na nasze pożegnanie. To w stoczni włoskiej budowaliśmy tego „Batorego”, pracą włoskich inżynierów. Używamy ich jak wielki król Batory, który ku pożytkowi Polski wziął do współpracy inżyniera Ridolfino, wynalazcę „ognistych kul”, pogromcę Wieliza, fortyfikatora Wielkich Łuk, budowniczego Szymona Gengę, który zamknął Dźwinę fortecą „Diament”, gdy Ryżanie buntowali się o wprowadzenie nowego kalendarza przeciw Rzeczpospolitej. Mikołaj Carlini, Andrzej Bertoni, Roseni... cała plejada.

Ale nie wszystko, co jest tradycją mnie wzrusza. Kiedy patrzę na figurę z zielonego brązu Jana z Kolna, zdobiącą wnętrze okrętowe, wiem, że pozostanie ona wiecznym symbolem, że, po najdłuższym da Bóg pływaniu „Batorego”, troskliwe ręce następnych marynarskich pokoleń przeniosą ją na następny transoceanik polski. Ale kiedy patrzę na kolorowy „pleaser” signora Caesare, myślę, że wówczas będzie stał na pokładzie odcumowującego okrętu polski inżynier i że statek wyjeżdżać będzie z polskiej stoczni.

Taki jest pęd spraw

Bo taki jest pęd spraw, wzięty przez wróconą Niepodległość Polskę i pędu tego nic z drogi nie zwróci. Skoro tonaż naszej marynarki handlowej z 9.000 ton w 1927 w 1938 przerósł 100.000 ton i skoro zamówiliśmy nowych tonaży około 45.000 ton, skoro Gdynia jest portem macierzystym dla 50 linii okrętowych, z czego 20 linii polskich, skoro w Dalmacji pytali mnie dziennikarze „jak wy to robicie, skoro my, już pół wieku niepodlegli, mający tradycje republiki Raguzkiej, mamy zaledwie kilka stateczków kabotażujących gdzieś ku Pireusowi”, skoro Portugalczycy wyrażali mi zdumienie, że, będąc trzecim imperium kolonialnym świata, przed wojną nie mieli żadnej linii własnej, a obecnie mają żalosne początki, skoro... ech, co tu gadać, skoro w Gravesund polski marynarz skłął „na perłowo” angielskiego marynarza i wywodził mu nieprawdopodobnym volapukiem od ofernów i niedojdów, bo źle podjechał do schodni – to już teraz zhardziałem, wiem, że będziemy żuli prymkę, zbogacimy leksykon przekleństw tak, że się nieboszczyk Linde w grobie przewróci, a „Kurier Warszawski” zamknie „kącik językowy” i będziemy budowali, będziemy budowali...



Będziemy budowali nie tylko dlatego, że tego wymaga prestige Polski, obronność, samodzielność gospodarcza, bilans handlowy. Będziemy budowali i dlatego, że kapitał inwestowany w żegludze morskiej jest bardzo mały w stosunku do usług, jakie żegluga oddaje gospodarstwu narodowemu.

Nasz Dziennik, 6 kwietnia 2001
p.t.: „Powrót Polski nad morze”

12. Łukasiewiczowe bogactwo *

Odkrycie nafty

Jak ten czas mknie szybko, niech świadczy to, że powstania 1863 r. nie oświeślały jeszcze lampy naftowe.

A jednak... Jednak ten wynalazek nafty, któremu sądzone było w Polsce się począć dla świata, pełga czasem jakimś światelkiem w dziejach.

Drohobycz pono za królów polskich miał przywilej oświetlania naftą. Widać jednak nie umieli sobie z tym przywilejem dać rady i w czarnym kopciu ze źle destylowanej nafty zaginęły te próby doszczętnie.

Wiemy też, że w 1810 r. urzędnik saliny Stebnickiej pod Drohobyczem, Hecker, wynalazł sposób destylowania nafty i zawarł nawet kontrakt z magistratem Pragi na dostawę stu beczek. Jednak nafta po drodze wyciekła i puste beczki dowieziono do Pragi.

To znowuż sygnalizują odnalezienie entuzjastycznego raportu jakiegoś lekarza wojskowego ze szpitala w Samborze, który koło 1820 r. oświeślał jakoby naftą szpital.

Ale to wszystko – jest jak te opowiadania o odkryciach Ameryki przed Kolumbem. W Meksyku przysięgano mi się, że szlachcic Cholewa na cztery wieki przed Kortezem chrzczył już Azteków. Cóż z tego? Dopiero ujrzawszy karawele Kolumba dzikusy poczęły płaść z radości i zdecydowały: nareszcie jesteśmy odkryci!

Ten fakt odkrycia dla nafty nastąpił więc ostatecznie w 1853 r.

Żyd borysławski, Abraham Schreiner, z mulistej masy ziemi, przesiąkniętej ropą, lepił kulę, przetykał przez tę kulę knot i zapalał. Kopciło to pod niebiosy, a przecież się paliło. Schreiner nawet się schytrzył coś jakoś nieco odczyszczając, – dosyć, że poczęto od niego nabywać naftę, którą zapalano jako sygnały kolejowe.

Uradowany powodzeniem, do którego doszedł czysto empirycznie, począł się zastanawiać, czy też to nie spirytus tkwi w owej tajemniczej substancji? Czemuż by się bowiem paliła? W umyśle Abrahama tkwiła słodka wizja: jest właścicielem propinacji; bierze spirytus wprost z Ziemi; chamy się zapijają, gdyby choć pięć grajcarów brał za kieliszek, to i tak spać będzie na złocie.

W starej aptece Mikolascha, po dotąd egzystującej we Lwowie, znalazł przytułek odprysk „Wiosny Ludów”, prowizor Łukasiewicz.

Zamieszany w zdarzenia 1846 r., musiał przerwać studia uniwersyteckie i siedział jak mysz pod miotłą, kręcąc pigułki i prosząc Boga, by o nim zapomniała szalejąca reakcja austriacka.

Kręcąc pigułki, rozmawiał z drugim prowizorem, Zehem, o szerokim świecie, o którym skąpe jeno dochodziły wieści. Ten świat teraz dopiero wziął rozpęd po wstrząsach omal pół wieku trwających. Wszędzie ruszyły koleje, statki parowe zbliżyły świat, maszyny parowe

* tytuł oryginalny



Ignacy Łukasiewicz (1822-1882)

wyrzucać poczęły ogromną produkcję, chłonne kolonie bogaciły metropolie, rosły miasta w tempie nie prawdopodobnym. W tych miastach ludzie chcieli coraz lepiej żyć; brukowali ulice, wprowadzali zbiorowy transport, nie mogli jednak zwalczyć ciemności, które zalegały miasto. Tysięczne próby z różnymi mieszkankami olei nie dawały dosyć dobrych wyników. Już tu i ówdzie pokazał się gaz. Ale na ogół, po dawnemu, te świetne metropolie, o których mówili pigularze przy żmudnej manipulacji z bańkami ciał oleistych – tonęły w ciemni. Ciemność była czymś przyrodzonym, niezwalczonym i koniecznym w oczach współczesnych ludzi. „Jeśli Bóg stworzył ciemności – pisała „Kölnischer Zeitung” w 1828 r. z powodu uchwały Rady Miejskiej oświetlenia ulic – „to jakież prawo ma człowiek z nimi walczyć?”.

Ot, gdyby tak oni coś wymyślili...

Do apteki tylnym wejściem, wprost do pracowni, wśliznął się Abram Schreiner. Chłop za nim z koszulą wypuszczoną na portki, postępując, wniósł galon jakiejś ciemnej mazi.

– Panowie aptekarze są uczeni – mówi Schreiner. – Tu się coś pali. Co może się palić, jak nie spirytus? Niech panowie zrobią gorzelnię na tę ziemię, będziemy spółnikami i cicho, sza?!

O łuny ognia nad miastami świata! Łukasiewicz i Zeh biorą się pilnie do otrzymanego centnara. Wynajdują sposób destylacji.

Teraz dążą z litrem płynu pod pachą do mistrza blacharskiego Bratkowskiego: niech wynajdzie coś, w czym by to mogło się palić.

Wziął mistrz Bratkowski lampę oliwną z półki. Na wysokiej, mosiężnej nóżce mały rezerwuarek; ukośnie z tego rurka na knot; pod rurką rynienka na opadające opalki knota; na łańcuszku przywieszzone szczypczyki dla jego rozjaśniania.

Naleli płynu w rezerwuarek; pochyłili ku sobie trzy głowy nowocześni Prometeusze; zatknęli knot; już przesiąkł – szybko poszła po nim wilgoć lekka i przejrzysta; potarli o sukno „siarczyk”, zapalkę pierwotną, przytknęli – zapłonęło równe, łagodne światło, które odtąd przez całe pół wieku miało być największym przyjacielem człowieka; zataiwszy oddech, patrzyli trzej ludzie w to światło, podziwiali jak mało się zwęgla knot, podziwiali jak ciągnie przejrzysty płyn, patrzyli, oczom nie wierząc, po kątach warsztatu; obrzynki blachy i strużyny, śmieci po kątach, narzędzia rozrzucone stanęły w blasku dotąd nieznanym; zapalili kaganek oliwny – weszła im w tym warsztacie pierwsza w dziejach ludzkości – lampa.

To był 1853 rok. Zaraz w tymże roku zabłyśły lampy naftowe (już w którejś tam ulepszonej przez mistrza Bratkowskiego i wzorowanej na „lichtarniach” edycji, z wielokrotnie pojemniejszym rezerwuarem, ale wciąż o knotach pojedynczych – do okrągłych domyślono się wiele później) w szpitalu miejskim we Lwowie.

Co też to chodzenia, oglądania, dziwów było u pocziwych Lwowian. Światło chwalono, ale zdecydowano, że łatwo eksplodować i kamienice w gruzy zmienić może, więc nikt się nie kwapił.

W pięć lat później, niezależnie zresztą od polskiego wynalazku, zapaliła się pierwsza lampa naftowa w Stanach Zjednoczonych.

Początki eksploatacji

W Gorlicach nafta leży na wierzchu. W Gorlicach naftę znają szeroko. Leczą nią babki „znające”. W dołki ziemne nabiera się woda z czymś tym śmierdzącym po wierzchu; dobrze jest ten płyn z wody zgarnąć, owce nim nacierać: parchy giną jak nożem uciął.

Młody prowizor Łukasiewicz, który w Gorlicach aptekę wydzierżawił właśnie, nie znajduje wielkiego uznania. Kiedy zapytać u niego o krople „dziewięciosił”, albo o balsam majska, coś od rzeczy prawić, nie objaśni, nie wypyta, nie doradzi. Jenemu by wciąż nad te dołki gnać, z których przychodzi upaprać, cuchnący jak nieboskie stworzenie. Owczarz to prawy, nie aptekarz. Tylko z czego będzie żył, jak owcom parchy wyleczy?

Tymczasem dołki coraz bardziej się wgłębiają; im je więcej kopać, tym więcej po wierzchu znajduje się nafty. Już owe „duczki” pana Łukasiewiczowego iść poczynają po kilkanaście metrów w głąb; już poniektóry poczyną pan aptekarz szalować drzewem.

Teraz buduje rafinerię w Polance. Poczyną sprzedawać cenny płyn. Rafineria w Polance pali się – już ma pieniądze na założenie drugiej – w Ulaszowicach. I ta się rafineria pali. Ale już teraz Łukasiewicz jest mocny. Jego szyb, pierwszy polski szyb i najgłębszy z szybów, jakie kiedykolwiek może wykopano – „Małgorzata” – idzie w głąb ziemi na 180 m, daje 1.000

garncy dziennie. Trzecią rafinerię buduje w Chorkówce – później własności Stawiarskich.

Kiedym przed kilku laty siedział w pałacu w Jedliczach przy doskonałym obiedzie – dzień był letni, z pięknego parku przez zapuszczone rolety biło słońce, a w dzbanie doskonałego wina apetycznie podzwaniała szklana pończocha z lodem – pytałem uprzejmego gospodarza, śp. Stawiarskiego, o owe brutta, z których stanął ten dobrobyt i owe brutta naftowe czerniały nam brzuskami wypisanych cyfr na białym papierze i bynajmniej nie pachniały naftą; między nimi a szybem stał cały skomplikowany świat pośrednictwa, maklerki naftowej, giełd światowych, akcyj i imprez, który buchnął z tych pierwszych „duczek”.

Niebawem „duczki” – doły kopane – zmieniają się w szyby wiercone. Pierwszy naftę począł wiercić – znowu, rzecz znamienita, nie businessman, jeno romantyk, powstaniec, inż. górniczy Walter. Wiercił ręcznie.

W 1881 r. ktoś tam sprowadził majstra wiertniczego, Kanadyjczyka, Mc. Garveya.

Mc. Garvey, niespożytej energii i niespożytego zdrowia, przywiózł z terenów kanadyjskich swoje tajemnice. Dźwignął na jesionowych żerdziach świder parowy – system to kanadyjski, który następnie upowszechnił się w Galicji.

Ale Mc. Garvey dookoła kopalni dźwignął wysoki, trzymetrowy parkan, nikt za ten parkan wstępu nie miał. Tajemnica była tak ostra, że narzędzia do ostrzenia posyłał w worku – aby zaś ich kto po drodze nie obejrzał.

Trzej nasi inżynierowie – Jurski, Zdanowicz, Łaszcz – umierali z ciekawości, patrząc na wznoszący się ponad rusztowanie czub wieży wiertniczej. Praktykantowi swemu De Laveaux kazali zgłosić się na prostego robotnika do Mc. Garveya. De Laveaux nosił w kieszeniach wosk i odbijał części narzędzi.

Pewnego razu Mc. Garvey się wściekł: na sąsiednim terenie, należącym do przedsiębiorczych inżynierów wznosił się rasowy kanadyjski R I G (żuraw wiertniczy).

Polski przemysł naftowy budują romantycy

Nieprawda, żeby potęgę ekonomiczną państwa tworzyli businessmani. Oni ją dopiero gruntują. Przemysł naftowy, rasowy przemysł polski, który dawał specjalistów wiertniczych na cały świat, jest tego najlepszym przykładem.

Romantykiem był spiskowiec 1846 r., Łukasiewicz, który pierwszy począł destylować naftę.

Romantykiem był Walter, powstaniec 1863 r., który pierwszy począł ją wiercić.

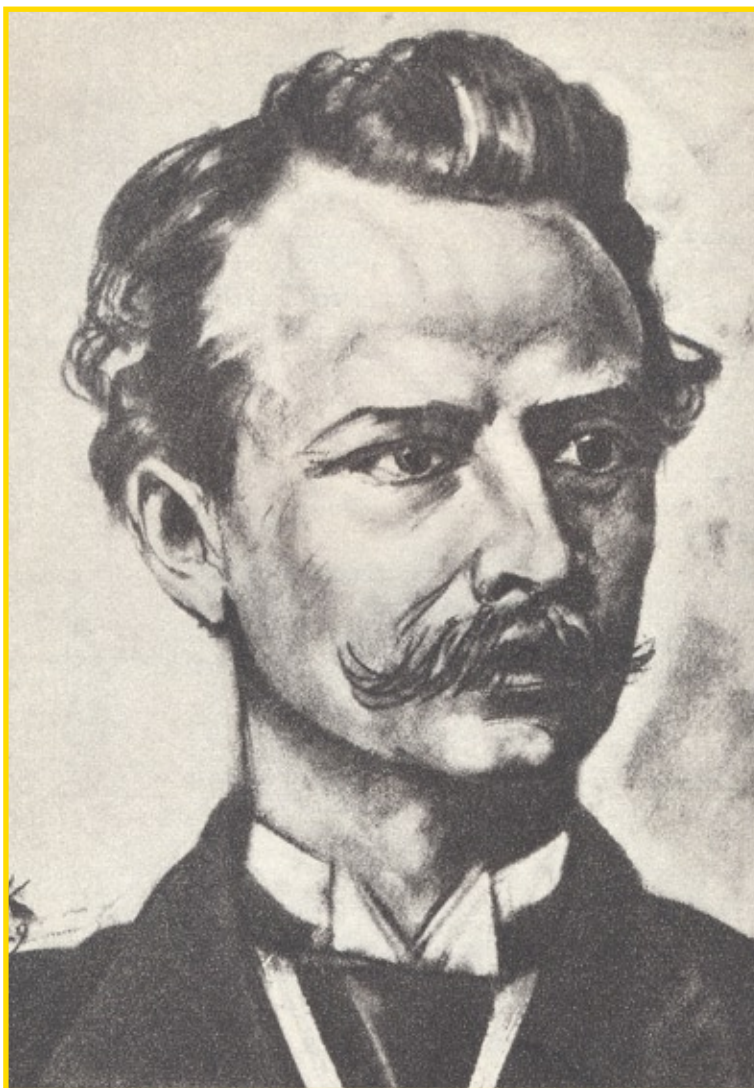
Romantykiem był myśliciel narodowy, wychowawca całych pokoleń młodzieży, Stanisław Szczepanowski, który pierwszy począł organizować naftę jako gałąź przemysłu krajowego.

Dokonawszy pomyślnych wierceń w Słobodzie Rungurskiej, dobiera sobie dwóch dzielnych ludzi. Sam reprezentuje ideę, Wolski jest tęgim konstruktorem, Odrzywolski pierwszorzędnym organizatorem. Dowiercają wspaniałe szyby w Schodnicy na południe od Borysławia. Gromadzą koło siebie zespół ludzi, którym pali się w głowie marzenie o zaradzeniu na nędzę Galicji.

Kiedy Szczepanowski bankrutuje, wówczas i Wolski i Odrzywolski i częściowo

entuzjasta Zima, dyrektor Galicyjskiej Kasy Oszczędnościowej, oddają dobrowolnie swe majątki na spłatę zobowiązań Szczepanowskiego.

Szczepanowski zbankrutował, ale nie zbankrutował jego system.



Stanisław Szczepanowski (1846-1900)

Kiedy naczelnik Urzędu Górniczego, Józef Salomon de Friedberg, pytał Odrzywolskiego, jak mu się układają stosunki z robotnikami, Odrzywolski odpowiadał wesoło:

– A jak mają się układać? Chodzę w tej samej bluzie błękitnej co i oni. Razem pracujemy.

Było to na południe od Borysławia. Sam Borysław, przyszłe polskie Klondaik, w tych latach dziewięćdziesiątych, to było mrowisko lepiarek, w których mieszkali nędzarze, parający się woskiem ziemnym. „Kiedym przeszedł tylko z Borysławia za dział góra” – zwierzał mi się jeden Borysławianin, który wówczas był chłopcem – „i schodziłem w dół ku Schodnicy, czułem się, jakbym schodził w jakiś inny świat – między ludzi wesołych, ubranych, sytych, patrzących jakimiś jasnymi oczami”.

Stosunek do robotnika przeszedł niejako w testament. Nawet kiedy wlała się do przemysłu naftowego fala spekulantów – w stosunku do robotnika ten przemysł odznaczał

się zawsze ścisłym związkiem między robotnikiem a przemysłowcem. Tak już został zapoczątkowany...

Czas na Borysław

Przyszła i na Borysław czas.

Posłał na teren borysławski Mc. Garvey swego przedstawiciela – Długosza.

Wierci Długosz i wierci – nafty ani krzty. „Jaś” Rączkowski, majster pomocnik kłnie z lwowska, to znaczy dosyć dobroduszenie, a świder tłucze bez końca w płoną ziemię. Wówczas wiercenia robiono płytkie. Wprawdzie od czasów 180-metrowej „Małgorzaty” Łukasiewicza (wykopanej, nie wywierconej) posunięto się dalej w głąb, ale najgłębsze szyby w Schodnicy nie przekraczały 400– 500 metrów.

Tedy Kanadyjczyk, jako że był trzeźwy chłop, śle rozkaz: stop!



Władysław Długosz

Ale Długosz ma wówczas 33 lata (ten uczestnik sztafety gospodarczo-romantycznej urodził się w roku, kiedy Walter powstaniec poczynął pierwsze wiercenia, tak jak Szczepanowski urodził się w roku, kiedy Łukasiewicz szedł do więzienia) i szlachecką fantazję. „Jaś” dzielnie mu dopisuje placu. Telegrafują raz po raz do Garyeya, że już likwidują, że już przyjeżdżają, a sami – wiercą, aż żerdzie trzeszczą.

Wywiercili 600 metrów – nic...

Wywiercili 700 metrów – nic... Mc. Garvey się pieni, śle depeszę za depeszą, lada dzień na kark zjedzie.

Wywiercili 800 metrów... Nic! Koszta rosną. W jakąż katastrofę zapędzą siebie i swego patrona?

Wywiercili 850 metrów – technicznie tchu nie stają. To nie bagatela – wąskim świderem wbić się na kilometr niemal w ziemię. Raz po raz świder „zaciska”, raz po raz krzywi się szyb, trzeba się cofać, trzeba kamieniami zasypywać krzywiznę i znów się przebijać.

Już nic nie rozumują. Już i tak wszystko przepadło. Już i tak nie ma odwrotu.

Mc. Garvey dzień w dzień otrzymuje raporty: już wracamy, już. Pieniądze, które nadesłał na likwidację, wydane co do centa na wiercenia, zadłużeni, zziębnięci, w długach, na kredyt, z niepłaconym robotnikiem, czarno w oczach. Łyżka jałowy szlam wynosi i z osiemset siedemdziesiątego i z osiemset osiemdziesiątego i z osiemset dziewięćdziesiątego metra.

Już nie ma rozpaczy. Wola ludzka już dawno się przez nią przebiła, jak świder przez twardy rogowiec. Determinacja chrześcijańska jak płoną skała, miażdżona świderem na szuter.

I nagle – było to na dziewięćsetnym metrze – wysadza świder, bucha szyb, dający kilka wagonów naftę na dobę, leci depesza do Mc. Garveya: Jest, nafta! Jest...

„Jaś” Rączkowski zostaje panem kierownikiem. Potentatem. Tylko nie lubi podpisywać aktów rejentałnych. Jakoś tam z biedą wywodzi Jan Rącz..., ale z tym piekielnym z się nie lubią. Więc Borysław cały nazywa pana dyrektora „Jan Rącz”. 120 lat przed nim, twórca pierwszego młyna do bawełny, lord Arkwright, eks-fryzjer, właściciel zamku i trzech i pół milionów funtów, doucza się ortograficznego pisania, mając szósty krzyżyk.

Ten kilkowagonowy szyb wysadził nie tylko świder, ale i ludziom uderzył do głowy. Wiodący marną egzystencję w kraju biednym, nad którego nędzą łamał ręce Szczepanowski, poczuł, że gdzieś w tajemniczej głębi ziemskiej, pod nimi, płyną miliony, na które czeka świat.

Byle wiercić!...

Ale łatwo to powiedzieć – wiercić. W miarę postępu głębokości każdy następny metr jest droższy. Wówczas na wywiercenie szybu 800 do 900 m głębokiego potrzeba było kapitału około 100.000 koron – dziś wierci się w Borysławiu półtora kilometra i więcej kosztem około miliona złotych. A ileż tych szybów trzeba nawiercić!

Gorączka ropy

Spekulanci, którzy rzucili się zakupywać tereny naftowe, poczęli gorączkowo poszukiwać pieniędzy. Po domach, po cukierniach, po schodach proponowano ludziom udział w terenach. Brutto i netto szły z rąk do rąk, tańczyły piekielną sarabandę. W spożyciu szampana stał Borysław w monarchii austriackiej na drugim miejscu po wesołym Wiedniu.

Chłopi-właściciele terenów zaczęli pić po knajpach i jeździć czwórkami. „Taki Jasiński na bursztynowej cygarnicze kubańskie cygara palił – inaczej nie”. Place w mieście i wkoło miasta dotąd należą do spadkobierców legendarnego Lindenbauma, których nikt nie zna, którzy mieszkają, gdzieś za granicą. Sam Dawid Lindenbaum, ex-pachciarz tamecznych ex-obszarników, w długim chałacie ze sznurem i w aksamitnym kapeluszu, jeździł powozem, zaprzężonym w białe konie. Inny spekulant, Izaak Kornhaber, który aż do 1910 r. miał wyłączne prawo sprzedaży wódki w Borysławiu, był burmistrzem miasta, nie umiając się podpisać. Na ten jazgot przybył i kapitał obcy. Powstaje nadprodukcja, więc należy tym

gorliwiej wiercić, by ilością pokryć niską cenę. Dochodzi do tego, że szyby, dające po pięć wagonów dziennie, zabija się wodą, by pójść głębiej, po jeszcze więcej ropodajne złoża.

Gospodarka rabunkowa w pełnym tego słowa znaczeniu. Starzy nafciarze dotąd powtarzają ze smakiem różne ewenementy, które wówczas wstrząsały tym krajem biednym, z nagłą będącym świadkiem finansowych fajerwerków. Jak na przykład firma Wolski dowierciła się szybu „Wilno”, który buchać począł 50 wagonami dziennie.

Pięćdziesiąt wagonów dziennie! Gdzież tu wziąć cystern... Opowiadał mi pewien Drohobyčanin, że pamięta jezioro, które powstało. Jezioro nafty. Po prostu firma Wolski zamknęła jar i poczęła w niego wlewać swoją produkcję. Zakupił ją ryczałtem Suchestow (niedoszły szwagier Radziwiłła Rudego) płacąc po 70 hal., tzn. 84 grosze za 100 kg (koszt obecny 100 kg wynosi 16,5 zł).

Pożar szybu „Oil City”

Tymczasem przychodzi – klęska. Największe dowiercenie się firmy Oil City w 1908 r. 200 wagonów dziennie!

Upadły serca nafciarzy. Zdawało się, że sam dobry Bóg chciał przyjść z pomocą. Ta olbrzymia masa nafty, bijąca z ziemi, zapaliła się. Potworny, czarny wytrysk stał w powietrzu i dopiero korona jego gorzała brudnym ogniem. Przez kłęby kopcia nie widać było ognia. Czarna sadza padała na całą okolicę. Dopiero w nocy jarzyła się tygodniami wysoko ponad drzewami wielka pochodnia świecąc na całą okolicę.

Poczęto ten pożar otaczać wałami ziemnymi. Poczęto z czarnego słupa cieczy, który zapalał się dopiero gdzieś w górze, odprowadzać co można w bok. Wreszcie skonstruowano ogromny kołpak, potężny dzwon z rurociągiem na szczycie. Podtoczono jakimiś beluardami.

Wrażono na wytrysk. Tak nauczono się gasić pożary szybów.

Wyprzedzenie Rumunii

Naftę po kilku tygodniach uratowano, ale ten ratunek podciął przemysł naftowy. Produkcja, która za czasów Słobody Rungurskiej, w 1885 r. wynosiła 65.000 ton rocznie, która za czasów Schodnicy w 1894 r. wynosiła 132.000 ton, obecnie, w 1909 r. skoczyła na dwa miliony ton. Jest to kulminacja naszej produkcji, która nigdy już nie miała się powtórzyć. W tamtym 1909 roku pobiliśmy nawet produkcję tak bogatej w naftę Rumunii. Był czas, że przy samej nafcie było zajętych ponad 10.000 robotników.

Poczyna się seria bankructw. Ostatni, pozostały z „Wielkiej Trójki” Wolski, kiedy kołatanie do Wiednia o pomoc nie pomogło, jedzie do Hamburga na preliminarium z Amerykanami. Rząd austriacki przestraszył się, wydepeszował go z Hamburga, interweniował – stworzył Krajowy Związek Producentów Ropy, zobowiązał się brać ropę po dobrej cenie, zbudował wielką odbenzyniarnię w Drohobyczu, nakazał lokomotywy opalać ropą – węgiel stracił odbiorców w trzech dyrekcjach kolejowych. Otwarto kredyty na zbiorniki-regulatory.

W ten sposób nieco załatwiono sytuację. Produkcja też wróciła do jakiejś rozsądniejszej

normy. Kiedy wybuchła wojna, produkowaliśmy ponad milion ton, co stanowiło 3% produkcji światowej.

Wojna

Tymczasem nadeszła wojna, a z nią zupełny przewrót w poglądach na naftę. Nafta – to dusza benzyny, a benzyna – to dusza motoryzacji. Zbyt wiele zajmowano się wojnami o naftę, rozgrywkami międzynarodowymi, zbyt wiele nafta zaciężała nad powojenną konfiguracją granic politycznych, aby o tym pisać.

Wróćmy do skromnego gospodarstwa polskiego.

Rządy wychowane na Szczepanowskim

Rządy w Polsce podejmuje pokolenie ludzi, wychowanych na tęsknotach Szczepanowskiego. Rozumieją, co to nafta. Przy tym – jest to jedyne dobro materialne, które nam pozostaje nagromadzone po wojnie. Dziedziczymy inwentarz nadniszczony, podłatany marnymi ersatzami, ale produkcja, dzięki potrzebom wojennym, jest rozbudowana, ale w zbiornikach zeskładowano 500.000 ton, to znaczy tyle, ile obecnie wynosi cała nasza roczna produkcja.

A tu cała Europa jest zgłodniała nafty! Ukraińcy nie zdążyli spieniężyć tych zapasów.

Stanisław Maczek

17 maja 1919 r., była to niedziela, nocą wpada na przedmieścia Drohobycza lotna kompania por. Stanisława Maczka (obecnie płk. dypl.).

Kompania, licząca 180 ludzi, wyposażona w ciężkie karabiny maszynowe, umieszczona na wozach, zdolna była do szybkich poruszeń.

Na ulicach miasta zawrzała walka wręcz. Mieszkańcy nasłuchiwali z bijącym sercem: te strzały brzmiały inaczej, niż głuche salwy, którymi Ukraińcy rozstrzelali co noc skazańców.

Polscy żołnierze zapalili światła, oświetlili ulice. Ludzie głaskali i całowali „Kubusia” – konia, na którym jechał por. Maczek.

Nazajutrz zajęto Borysław.

I długo – tej Ziemi na znak – grały syreny warsztatów „Nafta” w całym zagłębiu naftowym.

Ziemia polska jest zniszczona, bezsilna i nie żywi. A tu – żywe złoto w ręku. Wszystkośmy wówczas nabywali za naftę, nawet fasolę z Jugosławii. Oberlejtenant prof. dr Jerzy Nowak, profesor geologii, został, już w dniu 1 listopada, pierwszym naszym komendantem naftowym.

Obcy kapitał

Przemysł naftowy, który odziedziczyliśmy po wojnie, nie był już przemysłem z pierwszych lat pionierskich. Lata przesilenie wykruszyły element polski. Teraz należało się odegrać.

W tych latach płynnych fluktuacji, Schodnica, dziedzictwo Szczepanowskiego, która jest teraz w ręku żydowskiej spółki wiedeńskiej, znów wraca w ręce polskie. Przemysłowiec naftowy, Polak, p. Longchamps, dowiaduje się w Wiedniu, że tamtejsza elektrownia na gwałt szuka ropy. Idzie do Wiedeńskiej Spółki i kupuje całą Schodnicę za zaliczkę, którą otrzymuje z elektrowni.

Z Towarzystwem „Premier” przeciągnęliśmy strunę. Przerażeni Niemcy-właściciele pragną za wszelką cenę je sprzedać. Uważamy, że to samo w ręce nam wpadnie. Gdy wojska polskie obejmują teren i chcą nałożyć sekwestr, jest już zbyt późno: nie mogąc się dogadać z nami, Niemcy zdążyli przedsięwzięcie sprzedać Żydom z Kiszyniowa i Berdyczowa, którzy uzyskali obywatelstwo francuskie.

Gdyby wówczas, w te pierwsze lata improwizacji gospodarczej, nie dawano kontyngentów eksportowych na naftę inaczej, jak pod warunkiem, że eksporter obowiązany jest dokonywać nowych wierceń, nie doszlibyśmy może do tak nikłej, do tak niewydajnej produkcji, jak ta, którą obecnie rozporządzamy.

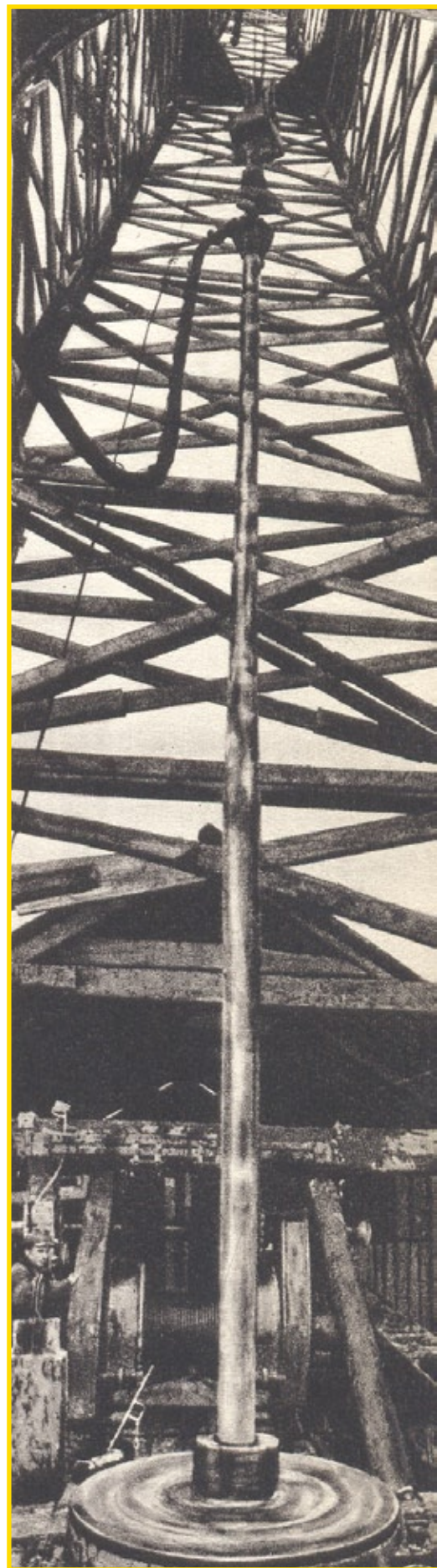
Mamy wprowadzić obecnie ponad 3.000 szybów w eksploatacji i sto kilkadziesiąt szybów w wierceniu, ale wydajność ich jest bardzo mała. Te czasy, kiedy wydobywaliśmy 3% światowej produkcji dawno minęły. Nasza produkcja przez lata naszej Niepodległości stale spadała, aż wreszcie doszła do 0,2% produkcji światowej, tzn. do pół miliona ton rocznie.

Otóż pół miliona ton jest to ta ilość, którą zużywali sami tylko alianci w ciągu miesiąca wielkiej wojny.

Od tego czasu motoryzacja i awiacja ruszyły milowymi krokami.

Nie wolno nam ani na chwilę zapominać, że marsz dzienny batalionu pancernego musi być „poparty” zastrzykiem kilkunastu cystern benzyny, że eskadra samolotów myśliwskich w locie bojowym zużywa całe tony specjalnej wysokowartościowej benzyny lotniczej, że wreszcie wszystkie nasze ciężarówki zmobilizowane dla celów wojska, pracując dziennie tylko 4 godziny, zużyłyby miesięcznie o prawie 50% więcej, niż Wynosi obecnie cała nasza miesięczna produkcja tego paliwa!

A bez tego paliwa tanki, samoloty, auta ciężarowe, pancerne,



ciągniki – staną się kupą bezużytecznego żelastwa.

Od czasu wojny motoryzacja i awiacja tak ruszyły, że fachowcy obliczają ilość ton ropy, jaką zużyje w ciągu roku wojny jedno tylko państwo o typie mocarstwowym, na 15–20 milionów ton.

Jest to astronomiczna cyfra, wobec której każda potęga tego świata staje bezradna. A przecież i bez wojny przewodniczący trustu Anglo-Iranian Co., Eadmanns na Międzynarodowej Konferencji Energetycznej w 1936 r. w Ameryce wykazał, że już w ciągu 20 lat światowe zapasy ropy będą całkowicie wyczerpane. W Stanach Zjednoczonych wyczerpią się już w ciągu 10 lat, w Rosji Sowieckiej w ciągu 16 lat. Co też za czasy, co za zmiany, co za szopki będziemy widzieli jeszcze za naszego życia!

Już więc np. Niemcy, których zapasy hanowerskie ropy łącznie z tym, co otrzymują z Austrii, niewiele przewyższają naszą produkcję – gorączkowo poszukują benzyny syntetycznej. Ale tu znów bezlitosna proza oblicza, że uzyskanie 15 milionów ton benzyny syntetycznej kosztować będzie 5 miliardów marek i zatrudniać stale przez okrągły rok około 400.000 ludzi, o których trzeba pomniejszyć liczebność armii.

Kalkulacja jawnie niemożliwa. Toteż Anglia pono już nie bawi się w benzynę syntetyczną i uważa, że lepiej się opłaci robić ile się da zapasów.

Te kłopoty bez wyjścia potencyj tego świata nie rozgrzeszają jednak bynajmniej nas. Bo nam wkrótce zabraknie benzyny na nasz dzień powszedni, na naszą skromniutką motoryzację. W chwili obecnej produkujemy 500.000 ton ropy i zużywamy je niemal w całości. Benzyny łącznie z uzyskiwaną z gazów ziemnych gazoliną wyprodukowaliśmy w r. 1937 okrągło 130.000 ton, czego zużyliśmy w kraju 81.000 ton, a więc 65%, lecz zapotrzebowanie nasze rośnie, w miesiącu marcu wynosiło już 69,65% produkcji. A więc bardzo kurczy się zapas na wzrost motoryzacji.

Należy szukać. Należy podjąć pionierskie wiercenia. Niemcy zawdzięczają swoje osiągnięcia w Hanowerze temu, że rząd pokrywał połowę kosztów pionierskiego wiercenia



i, w razie, jeśli to wiercenie nie dawało rezultatów – należność umarzał.

Polski przemysł naftowy jest pono zbyt biednym, aby na całkowite własne ryzyko podejmować próby pionierskie. Zbyt biedny, albo zbyt niechętny – rezultat ten sam.

W czyichże bowiem rękach jest nasza nafta:

40% koncentruje się w Tow. francuskim „Małopolska” które w 1937 r. miało produkcję 197.000 ton.

„Galicja”, która pochłonęła „Limanową” i operuje kapitałami żydowsko-wiedeńskimi, produkuje 65.000 ton.

„Gazy Ziemi” (kapitały polsko-żydowskie) – 26.000 ton.

„Standard Nobel” (kapitał amerykański) – 15.000 ton.

Oto główne cztery przedsiębiorstwa. Trudno się dziwić, że nie chcą na niepewne angażować swych kapitałów.

A wiercić warto.

13. Gazownia Pana Boga *

Ropa i gaz

Jakaż to siła kazała nafcie strzelać wysokim czubem ponad najwyższe drzewa?

To nie żadne podwodne ciśnienia nurtów naftowych. Gdyby jakiś nowy doktor Muchołapski zechciał powędrować pod Ziemię – nie znalazłby ani jednego jeziora naftowego, ani jednego naftowego strumienia.

Więc co wytwarza tę wielką siłę, z którą nafta wybucha?

Posłuchajmy Upton Sinclaira: *„już słysząc było szum bijącego źródła, jakby w pobliżu wodospadu Niagary; wszystko dookoła było czarne od ropy; co chwila olbrzymia fala ropy wytryskała z szybu i czarna rzeka rozlewała się szeroko; nie było wcale widać wieży wiertniczej; czarny olbrzymi potok bił w górę kilkaset stóp ponad ziemię z tak straszliwym szumem, jakby nieskończenie długi ekspres przelatywał mimo”*.

W innym miejscu tenże autor tak opisuje wysadzenie głowicy w szybie: *„nagle usłyszał straszliwy grzmot, jaki nigdy jeszcze nie obił się o jego uszy; grzmot ten ogłuszył go, jak piorun, trzaskający nad głową, zdawało się, że całe wnętrze ziemi rozsadził nagły wybuch. Olbrzymia głowica z całą masą cementu, o której ciężarze Ojciec mówił, że nie uniosłyby go nawet gazy Wezuwiusza – nagle wyrzucona została w powietrze ze straszną siłą – wprost w niebiosa! Wielka czternastocalowa żelazna głowica wyleciała ponad wierzchołek wieży wiertniczej miażdżąc szczytowy blok wieży i liny, jakby to było cacko z cukru”*.

Otóż tłokiem, który wypycha naftę z jej złoża piaskowcowych, przepojonych przez ropę jak gąbka – jest gaz! Drzemiąca w ziemi, straszna apokaliptyczna siła, której nie umieliśmy używać. Kto był w Iwoniczu – widział Bełkotkę – bulkający spod ziemi strumyk, nad którym zapala się gaz, kiedy zbliżyć palącą się zapalkę. Wincenty Pol coś tam rymował „Bełkotko, co tak szemrzesz słodko”. Pięknie słodko!

Marnowany, nienawistny odpad

Mówię o tym gdzie indziej, z jakim przekleństwem odrzucano dawniej na bezużyteczne hałdy zwały soli potasowej, która utrudniała dostanie się do soli kuchennej. Gaz był takim samym przekleństwem nafciarza.

Ustawa górnicza austriacka o tyle się nim zajmowała, że pilnie baczyła, aby nie były zagazowane budynki kopalniane. Usilnie wyganiano nienawistny gaz, wypuszczano go... w powietrze.

Bogusław Kuczyński w książce, którą przygotowuje do druku, tak o tym pisze: *„Z Borysławia wychodziło się w ciemność do lasu między wyprowadzone wysoko rury gazowe, zapalone jak pochodnie. Szło się więc ciągle między tymi wspianymi ogniami”*.

Kiedy koło 1890 r. pojawiło się dużo gazu w Potoku (między Krosnem a Jasłem) – okrzyknięto to jako nieszczęście, postarano się ustawić pompy i gaz zabić wodą. Zabito siłę,

* tytuł oryginalny – „Gazownię zbudował sam Pan Bóg”

która dawała 100 kubików gazu na minutę, tzn. 2 kwintale węgla.

Jeszcze w 1932 r., kiedy przejeżdżałem w słoneczne południe przez Stryj, biorąc benzynę w rynku, ujrzałem zdumiony, że wszystkie latarnie się palą.

– Gaziarz się upił? – spytałem domyślnie.

– Bo co?

– Latarnie nie pogasił...

– Ii... bo to warto gasić? Przecie to z ziemi idzie. Darmo.

Teraz, kiedy, nie znalazłszy jeszcze węgla wewnątrz kraju, poczęto się oglądać za inną siłą motoryczną, zastanowiono się jak wprząc do motorów te śpiące pod ziemią demony.

Pierwsze gazociągi

Pierwszy gazociąg wychodzący poza obręb kopalni zbudowano w 1912 r. z Borysławia do rafinerii w Drohobyczu (około 9 km).

Piszę w innym miejscu jak w listopadzie 1918 r. inż. Geisler obliczał, ile państwo będzie potrzebowało obrabiarek i co z tego wyszło. Takie obrachunki robili gorączkowo wówczas wszyscy. Prof. Politechniki Lwowskiej Kling wygłasza odczyt, w którym wywodzi, że wartość cieplikowa naszego gazu równa się połowie wartości cieplikowej naszej nafty i że nasz gaz zajmuje trzecie miejsce na świecie.

Już w czasie wojny, kiedy węgiel był drogi, przeprowadzono 16 km rurociągu do rafinerii w Jedliczach i Krośnie.

To oświetlenie gazowe, które podziwiałem w Stryju, pochodzi z 1921 r., kiedy to inż. Szajnok, idealista – pionier, kolejne ogniwo w łańcuchu Łukasiewiczów, Walterów, Szczepanowskich wraz z rzutkim inż. Wieleżyńskim odwiercili pod Daszawą na głębokości 400 m pierwszy jeszcze niezbyt wydajny szyb.

Daszawa – początek odkrywanych złóż

W dwa lata potem na głębokości 700 m nastąpiło właściwe odkrycie obfitych złóż gazowych Daszawy. Spółka „Gazolina” [*„Gazolina” była pierwszą polską spółką pracowniczą – przyp. J.K.*] założona przez Szajnoka i Wieleżyńskiego zbudowała wówczas gazociąg z Daszawy do Stryja, a potem do Drohobycza.

Z tych złóż w 1928 r. „Polmin” poprowadził długi rurociąg do Drohobycza. Tak więc dwa rurociągi o mniejszej średnicy zamiast jednego o większej obsługują ten sam kierunek. Biedni jesteśmy! Nie ryzykujemy. Łatamy. I potem nas drożej kosztuje.

Z tych bogatych złóż daszawskich w tymże 1928 r. przeprowadza „Gazolina” do Lwowa rurociąg długości 80 kilometrów. Gaz sztuczny, którym posługiwał się Lwów, miał dwukrotnie mniejszą kaloryczność.

Potem się sypią różne odwiercenia gazów ziemnych. Jeszcze w 1924 r. koło Nadwórnej odwiercono poważne złoża, ale z braku odbiorców rurociągu nie zbudowano. „Pionier” koło Kosowa znalazł płytkie gazy, których na razie używa do głębokich wierceń nafciarskich. „Polmin” koło Tarnowa znajduje ślady gazów; zdaje się, że na brak gazów nie będziemy

się uskarżać w widłach Wisły i Sanu. „Tespy” znów koło Kałusza odwierciły dla siebie dwa szyby. „Gazolina” w 1935 r. przeprowadziła rurociąg z Daszawy do Chodorowa (bekoniarnia). „Polmin” w 1936 r. oświetlił uzdrowisko „Morszyn”.

I znowu duża inwestycja: w 1937 r. „Polmin” odwiercił Roztoki. Z szybu głębokiego na 1037 metrów wydobywa się gaz pod ciśnieniem około 100 atmosfer (to znaczy na 1 m kwadr. powierzchni ciśnienie potworna siła 1 miliona kilogramów) z Roztok przez Jasło, Pilzno, Tarnów do Mościc.

Gazociągi COPu

To ta potężna siła pędzi gaz rurociągami aż do COPu bez potrzeby ustawiania po drodze kompresorów i stacyj przetokowych. Jadąc przez tereny COPu widzimy, jak z boku drogi biegnie niekończąca się nigdy linią nie zakopany jeszcze w ziemi rurociąg. Tym rurociągiem podąża ku Centralnemu Okręgowi Przemysłowemu druga po elektryczności siła, niezależna od położenia przygranicznego.



Spawanie rurociągu

Nagle w pewnym miejscu widzimy, jak już chowają rurociąg pod ziemię na głębokości 1m. 30 cm.

W 1937 roku poprowadzono 200 km gazociągu doprowadzającego gaz z Roztok pod Jasłem przez Kolbuszową, Sandomierz, Ostrowiec do Starachowic z odgałęzieniem do Rzeszowa. Obecnie prowadzone są prace przy przedłużaniu rurociągu do Radomia, Pionek, Skarżyska i Niska.

Instalacje gazowe w COPie mają kosztować 10,200.000 złotych. Ale sam gaz i siła go transportująca jest darmo. Właśnie kiedy to piszę dowiaduję się, że na terenie COP

o 8 km od Rzeszowa, a więc tuż przy fabryce motorów lotniczych, przy fabryce obrabiarek Cegielskiego na głębokości 220 m odkryto tak silne gazy, że świder wiertniczy wraz z całym przewodem został wyrzucony na wysokość 80 m. Poprzednio w r. 1933 zbudowano rurociąg z Roztok przez Jasło, Pilzno, Tarnów do Mościc.

Skoro więc już sam Bóg zainwestował pod ziemią gazownię, grzech by było poskąpić środków na rozproszczenie z niej gazu.

Gaz ten coraz bardziej uczymy się cenić, nie tylko jako energię, która nas w wielu wypadkach uniezależnia od węgla. A energia to jest niepoślednia jeśli uprzytomnimy sobie, że 1 kg węgla daje 8.500 kalorii, a 1 kg gazu ziemnego (metanu) – 11.900 kalorii. W przemyśle hutniczym gaz jest szczególnie cenny dla termicznej obróbki metali (pozwala utrzymywać i regulować odpowiednią temperaturę). Już się mówi, że w czasie wojny będzie go można zastosować do popędu aut. Włochy, które nie mają ani kropli nafty, usiłują już dziś zużytkować dla akcji samochodowej gazy, wydobywające się w dolinie rzeki Po. W chwili obecnej już 500 samochodów ciężarowych i autobusów jest napędzanych tym gazem. Już się bąka, że może stać się bardzo cennym surowcem chemicznym (Mościce już dziś go używają w zastępstwie gazu wodnego przy produkcji amoniaku). Że już wkrótce nie tylko nie pozwolimy sobie na spalanie gazu w latarniach w biały dzień, ale że spalanie gazu pod kotłami zamiast mialu węglowego będziemy uważali za karygodne marnotrawstwo.



Zasypywanie rurociągu

Zasypywanie rurociągu

Nie brak nawet głosów, które domagają się, aby rurociąg zainstalować, rozproszczyć wszędzie połączenia od niego i wszystko to zostawić nieczynne, rezerwując tylko na wypadek wojny. Te głosy dyktowane są obawą, że odgazowanie wyjałowi tereny naftowe. Natura horret vacuum... Gdy cały gaz zostaje wybrany, w puste miejsca wpada woda, odcina ropę

od dalszych dopływów i całe złożę naftowe jest zabite. Ale przy racjonalnej eksploatacji, w której się bierze tylko 20% gazu, to nie grozi. Poza tym robi się swego rodzaju Steinacha – odmładza się odgazowane złożę naftowe przez robienie czegoś w rodzaju sztucznej odmy u gruzlików: wtłacza się na miejsce gazu powietrze.

Teraz, kiedy już ten gaz jest, kiedy prywatna inicjatywa poczyną zaglądać nieśmiało do COPu, pocznie się targ, jęk, płacz, narzekanie. Nasi gaziarze chcieliby sobie zbyt szybko zamortyzować rurociąg, tłumacząc, że muszą tyle otrzymywać za gaz, aby ich stać było na nowe pionierskie wiercenia. Bo gaz mamy wszędzie wzdłuż całego pasa Karpackiego i najbardziej na wschód, w Kosowie, i najbardziej na zachód – na Śląsku Cieszyńskim.

Toteż gaziarze chcieliby dawać gaz w tej cenie, jakby się kalkulował węgiel loco COP. To by wyniosło 3,2 gr za kubik. Przedsiębiorcy znowuż wołają, że w takim razie będzie im się bardziej kalkulowało stawiać swe zakłady nie w COPie, a w pobliżu węgla. Starachowice, Ostrowiec, Południowe Zakłady rade by tak płacić za kubik, jakby płaciły za węgiel, który by wydobywały z kopalni leżącej tuż przy hucie i w dodatku z własnej kopalni. Wyniosłoby to 2,7 gr. za kubik. Gaziarze mówią, że to by im „straśno krzywdo” była, jak temu chłopu, którego chciano pozbawić wierzby, wskazują, że gaz, nawet dawany po cenie węgla śląskiego wraz z transportem, daje zysk dodatkowy, bo nie wymaga spalania pewnej ilości kalorii na przeprowadzenie wstępne węgla w stan gazowy, bo gaz nie zanieczyszcza aparatury, bo gaz wymaga mniej licznej obsługi.

Wyklóćą się i pogodzą się. Nam zaś, którzy nie mamy akcji ani w hutach, ani w kopalniach gazu w gruncie rzeczy najbardziej chodzi o to, że gaz jest.

Otóż: jest, proszę Państwa!

Rurociąg jest obliczony na 500 m na minutę, ale w 1938 r. zapotrzebowanie nie przekroczy 200 metrów.

Zrobiliśmy więc na wyrost. Tak jak na wyrost były zrobione Chorzów i Mościce, które obecnie już są za małe.

W 1937 r. zużyliśmy 530 milionów metrów sześciennych.

Zapamiętajcie sobie tę cyfrę, bo to dopiero nasz start.

14. Państwo wspomaga rolniczy eksport *

„Dopięty cykl gospodarczy”

Ot, choćby ta zasada „dopinania cyklu gospodarczego” która się nam narzuca w bekoniarni w Dębicy.

Zamknięto dla wywozu świń różne kraje. Poczęliśmy więc wytwarzać bekony. Okazało się, że Gdańsk nie przyjmuje do chłodni. No, to trzeba było postawić chłodnię. Okazało się, że okręty cudzoziemskie, przybywające do Gdyni mają specjalny regulamin ładowania do chłodni (najprzód tam świeże mięso, jaja itp.), tak że na bekony wiecznie miejsca nie stawało. Trzeba było sprawić sobie własne okręty z chłodniami. Wówczas się okazało, że bekon, zależny od cudzoziemskich agentów, nie ma dostatecznej opieki. Wówczas ustanowiło się własnych agentów. I tylko wtedy, kiedy dopięto owo ostatnie ogniwo łańcucha – świnia – bekon – chłodnia portowa – chłodnia okrętowa – agent własny, tylko wtedy i dopiero wtedy współczynnik sprzedawanych bekonów skoczył z kilku na kilkadziesiąt punktów.

Państwowa bekoniarnia w Dębicy

Zwiedzamy w Dębicy w Okręgu Centralnym wielką bekoniarnię, własność państwa, w którą rząd inwestował ponad 2 miliony zł, która przerabia 50.000 sztuk trzody, 15.000 cieląt, zatrudnia 300 pracowników. Doszliśmy do tego, że poniżej 1/5 naszego wywozu stanowią sztuki żywe, około połowy wywozu jest przetwarzane na półfabrykaty, a już jedna trzecia na konserwy mięsne, głównie szynki w puszkach. Już i 13 procent eksportowanego przez nas drobiu opuszcza kraj w konserwach. Już i cenę osiągamy w Stanach Zjednoczonych tę samą, co inni importerzy europejscy, z dawna na rynek wprowadzeni.

Kiedy tak patrzę na jadący na taśmie ruchomej świniomontaż białych tusz świńskich, które od ogłuszenia i przecięcia tchawicy wędrują z rąk do rąk (a każdy robotnik ma parę określonych ruchów), aż do ostatniego robotnika, który okleja papierem blaszane pudełka – myślę sobie, że proces odebrania życia, punkt kulminacyjny, punkt straszliwy, który w odczuciach naszych, wychowanych na humanizmie XIX w. zajmuje pierwsze miejsce, tutaj, w tym totalistycznym ustroju rzeźni, jest tylko jednym z kilkadziesiąt ogniw produkcji.

I kiedy w rozmowie z ministrem Kwiatkowskim przypominamy sobie, gdy mówi o „dopinaniu wszystkich elementów z cyklu inicjatywy gospodarczej” te bekony, mniej myślimy o życiu biednej świni, niż o tym strasliwym wyścigu, o grze, wymagającej napięcia wszystkich nerwów, o tym, jaką to było trzeba wyciągnąć kartę i jak zagrać, kiedy wartość globalna wywozu artykułów hodowlanych spadła z 310 milionów na 89 – aby ją doprowadzić znów do 145 milionów w roku ubiegłym, na jaką zaradność trzeba się było zdobyć, gdy nagle eksport świń zmniejszył się z 2 milionów sztuk do blisko 700.000 sztuk – aby znów osiągnąć w roku zeszłym milion sztuk. Europa zasklepiła się barierami?

Weksłujemy nasz eksport, już cztery piąte jego lokujemy w krajach zamorskich. Jeszcze w 1934 r. eksportowaliśmy do 26 krajów, w r. z. już eksportowaliśmy do 45 krajów.

Oprócz istniejących w Centralnym Okręgu przetwórci mięsnych w Tarnowie, Dębicy, Jarosławiu, Lublinie i Radomiu, powstaje przetwórcza w Rzeszowie i projektuje się w Sandomierzu.

Praca kierowana

Ten „świński incydent” kładę na końcu rozważań o sztafecie dziejów naumyślnie. Konserwy mięsne, to tylko małe, pomocnicze zadanie Centralnego Okręgu, który jako poszerzony C. O. R. (Centralny Okręg Rolniczy), ma armię w czasie wojny wyżywić. Ale i w tym małym fragmencie odbija się cały splot skomplikowanych spraw, które już Ludwik XIV nazwał „pracą kierowaną” a które w naszych czasach muszą być kierowane stokroć bardziej.

Tak czy owak – naczelną rolę gra w tych sprawach dynamika, praca i zaufanie. W tych dziedzinach jest z nami stokroć lepiej niż w ciągu dziejów, stokroć lepiej, niż w pierwszych latach Polski.

Typ Polaka

Poczynamy coraz pewniej powtarzać słowa, które ongiś Szczepanowski rzucił w zaraniu odrodzenia gospodarczego:

„Typem Polaka nie jest pieczeniarski lub zawadiaka z XVIII w., albo serwilista z XIX w., ale cały ten szereg bohaterskich postaci, które od Piasta i Kazimierza Wielkiego do Kościuszki przechowały tradycyjną nić naszego rozwoju historycznego”.

Pałeczka sztafetowa Lubeckich szybciej idzie z rąk do rąk, niż pałeczka Ossolińskich.

12. Biografie i omówienia twórczości M. Wańkowicza (z Internetu)

www.culture.pl/pl/culture/artykuly/os_wankowicz_melchior

**Pisarz, dziennikarz, publicysta. Urodzony w 1892
w Kałużycach, zmarł w 1974 w Warszawie.**

Melchior Wańkowicz przyszedł na świat 10 stycznia 1892 w rodzinnym majątku Kałużyce położonym nieopodal Mińska na Rusi Białej. Imię dostał po ojcu, powstańcu styczniowym, który zmarł w roku urodzenia syna. Matka, Maria ze Szwoynickich, zmarła trzy lata później w 1895 roku. Przyszły pisarz dosyć wcześnie opuścił dom rodzinny. Po śmierci rodziców jakiś czas przebywał w Nowotrzebach, położonym na Kowieńszczyźnie majątku babki. Ten czas, wczesnego dzieciństwa, odtworzył potem w jednej z najpiękniejszych w polskiej literaturze opowieści o schyłku ziemiańskiego życia, w „Szczeniących latach”, które ukazały się w 1934. Rok wcześniej Wańkowicz publikował je w kolejnych numerach wileńskiego „Słowa”

W 1901 wysłano małego Melchiora do Zakopanego. Tam rozpoczął naukę, którą kontynuował od 1903 w Warszawie, w gimnazjum gen. P. Chrzanowskiego. W okresie gimnazjalnym przyszły pisarz zaangażował się w konspiracyjną działalność niepodległościową. W 1905 brał udział w strajku szkolnym, a w 1907 wstąpił do Organizacji Młodzieży Szkół Średnich „Przyszłość” (Pet). W 1910 został nawet sekretarzem generalnym Petu w Królestwie Polskim, redagując w tym samym czasie nielegalne pismo młodzieży „Wici”. Tutaj, podpisując się pseudonimem Jerzy Łużyc, zadebiutował artykułem pt. „Szkola polska w życiu narodu”.

Po maturze w 1911 Wańkowicz przeniósł się do Krakowa i tam studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, a także uczęszczał do Szkoły Nauk Politycznych. W czasie studiów przyszły pisarz żywo interesował się polityką i aktywnie uczestniczył w konspiracyjnych działaniach młodzieży akademickiej. Między innymi w Krakowie wstąpił najpierw do Polskiego Związku Strzeleckiego, w którym był podoficerem, a potem należał do Organizacji Młodzieży Narodowej „Wolny Strzelec”.

Po ukończeniu Szkoły Nauk Politycznych w 1914 Wańkowicz został powołany do wojska rosyjskiego i przydzielony do Kołomieńskiego Pułku Piechoty, stacjonującego w Mińsku. Z wojska udało mu się wkrótce zwolnić, jak sam wspominał, na podstawie sfałszowanego świadectwa o stanie zdrowia.

Lata I wojny światowej ostatecznie ukształtowały osobowość Wańkowicza. Z bliska obserwował wydarzenia wojenne, był świadkiem dramatów ludzi uchodzących przed frontem

i poszukujących swoich bliskich. Losy wojennych tułaczy poznawał jako pełnomocnik Centralnego Komitetu Obywatelskiego Królestwa Polskiego dla reewakuacji Polaków z terenów Rosji.

W czasie wojny, w 1916 Wańkowicz ożenił się z Zofią z Małagowskich, a rok później wstąpił do Pierwszego Korpusu Polskiego gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego, formowanego w rejonie Mohylewa. Na początku 1918 Wańkowicz jako żołnierz Korpusu walczył z bolszewikami. Za udział w walkach został odznaczony Krzyżem Walecznych. W maju 1918 brał udział w buncie przeciwko zawarciu porozumienia z Niemcami. Postawiony przed sądem polowym, został uniewinniony.

W latach 1918-1920 przebywał na Ukrainie, a potem wrócił do Warszawy i tutaj stanął na czele działu propagandy Straży Kresowej. W 1919 został korespondentem wojennym „Gazety Warszawskiej”. W Warszawie Wańkowicz kontynuował przerwane wojna studia prawnicze i w 1923 uzyskał na Uniwersytecie Warszawskim tytuł magistra praw. Tuż po studiach rozpoczął pracę na stanowisku naczelnika Wydziału Prasowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Rok później, w 1924 założył Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, którego był współwłaścicielem i redaktorem naczelnym aż do 1939 roku.

Debiut literacki Wańkowicza przypada na okres tuż po pierwszej wojnie światowej. W 1919 w piśmie „Rząd i Wojsko” ukazał się jego pierwszy utwór „Opowiadanie legionisty Władysława Pasika”.

W okresie międzywojennym Wańkowicz poświęcił się pracy dziennikarskiej i literackiej, publikując między innymi w „Kurierze Warszawskim”, „Wiadomościach Literackich” i „Kurierze Porannym”. Warto jednak pamiętać, że był aktywny także na innych polach – był między innymi doradcą reklamowym Związku Cukrowników Polskich i to on właśnie wymyślił słynne hasło: „cukier krzepi”.

W prasie ogłaszał reportaże i cykle korespondencji z Polski, a także z zagranicy. Na przykład w „Kurierze Warszawskim” ukazała się jego korespondencja z podróży do Meksyku, którą odbył w latach 1926-27. Od 1930 Wańkowicz był członkiem Polskiego PEN Clubu. W 1936 pisarza uhonorowano Srebrnym Wawrzynem PAL. Nagrodę przyznano przede wszystkim za przyciągające czytelników, pisane barwnym stylem relacje z podróży. Przez ostatnie lata przedwojenne pisarz wraz z rodziną – żoną i dwiema córkami, Krysią i Martą – mieszkał w Warszawie na Żoliborzu, w słynnym „Domeczku” przy ulicy Dziennikarskiej, o którym wzruszająco pisał w „Zielu na kraterze”.

W chwili wybuchu II wojny światowej Wańkowicz przebywał w Polsce i podjął się nawet pracy korespondenta wojennego z terenów Lubelszczyzny. Ale jeszcze przed kapitulacją Warszawy, 24 września, obawiając się aresztowania przez Niemców, którzy rzeczywiście szukali autora książki „Na tropach Smętka”, wyjechał do Rumunii. Tutaj szybko rozpoczął działalność i pracę w środowisku powrześniowej polskiej emigracji, wygłaszał odczyty, pisał artykuły, publikował pod pseudonimami w ukazujących się w Bukareszcie „Kurierze Polskim” i „Dzienniku Polskim”. Na łamach „Dziennika” ogłosił między innymi w 1940 cykl „Na tułaczkę...”. W Bukareszcie wydał także jako Jerzy Łużyc książkę o walkach w Polsce pod tytułem „Te pierwsze walki”.

Latem 1940 Wańkowicz przedostał się na południe Europy, a we wrześniu tego roku

został wraz z innymi Polakami ewakuowany przez Anglików na Cypr, skąd w 1941 wyjechał do Palestyny. Głównym jego zajęciem pozostawała praca pisarza, reportażysty i publicysty. Pod pseudonimem Jerzy Łużyc pisał w „Dzienniku Żołnierza”, „Wiadomościach Polskich” i „Głosie Polski”.

Od 1943 Wańkowicz był korespondentem wojennym 2 Korpusu, podróżował po Bliskim Wschodzie. W maju 1944 uczestniczył w bitwie pod Monte Cassino i za tę bitwę otrzymał Krzyż Walecznych.

Po wojnie Melchior Wańkowicz nie wrócił do Polski. Jego starsza córka, Krysia, żołnierz „Parasola”, zginęła w Powstaniu Warszawskim, „Domeczek” został zburzony, Warszawa nie istniała. W 1947 pisarz zamieszkał w Londynie. Tutaj współpracował między innymi z „Wiadomościami” oraz z „Dziennikiem Polskim”, pisywał reportaże i felietony, które podpisywał jako Adolf Czybygdymy. Jego teksty nierzadko godziły w środowisko świeżej polskiej emigracji, nic więc dziwnego, że relacje Wańkowicza z Polakami mieszkającymi w Londynie nie były najlepsze. A kiedy w 1947 w Rzymie pisarz wydał zbiór felietonów pt. „Kundlizm”, niektóre czasopisma emigracyjne zerwały z nim na znak protestu współpracę.

Zaraz po wojnie Wańkowicz intensywnie zaczął pracować nad swoją największą i najbardziej znaczącą książką, która rozrosła się do trzech tomów ukazujących się kolejno w latach 1945-47 w Rzymie, pod tytułem „Bitwa o Monte Cassino”. Tą książką Wańkowicz wystawił wielki pomnik bohaterskim żołnierzom generała Andersa. Ale w tym samym czasie pisarz rozpoczął także współpracę z prasą w Polsce, drukował w „Przekroju” i „Nowinach Literackich”, jak również w paxowskim „Słowie Powszechnym”. Ta współpraca trwała do 1949 r. W tym właśnie roku Wańkowicz przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Tutaj utrzymywał się z różnych zajęć, nie tylko pisarskich, lecz także na przykład z pracy fizycznej na farmie, był również nauczycielem języka rosyjskiego. Dalej jednak uprawiał publicystykę, pisywał felietony i wygłaszał odczyty. W 1956 przyjął obywatelstwo amerykańskie. W tym samym roku po raz pierwszy od zakończenia wojny przyjechał na kilka miesięcy do Polski. Już wtedy, w atmosferze „odwilżowych” przemian, Wańkowicz rozważał możliwość powrotu do kraju na stałe. Od 1957 rozpoczął regularną współpracę z prasą krajową. Jego artykuły, reportaże i eseje zaczęły ukazywać się w „Przeglądzie Kulturalnym”, „Kierunkach”, a także w „Tygodniku Powszechnym”. W tym ostatnim Wańkowicz ogłosił, budzące wówczas duże zainteresowanie czytelników, cykle tematyczne: „Murzyni w USA” i „Kobieta w Ameryce”.

Do Polski na stałe Wańkowicz wrócił w maju 1958. Po powrocie zajął się pracą literacką, wygłaszał odczyty, występował w radiu i telewizji. Na początku lat sześćdziesiątych pisarz ponownie wyjechał do Stanów Zjednoczonych i przez rok podróżował po kontynencie amerykańskim, zbierając materiały do nowej książki.

Wszystko, co pisał, jego reportaże, opowiadania, powieści mają – niezależnie od konkretnej tematyki – wiele wspólnych cech. Przede wszystkim Wańkowicz wspaniale operował zanikającym już dzisiaj, a wywodzącym się z dawnej polskiej kultury szlacheckiej stylem opowieści mówionej. Autor „Tworzywa” był znakomitym gawędziarzem, jego fabuły pełne są anegdot, dygresji i bezpośrednich zwrotów do czytelnika-słuchacza. W pisarstwie

Wańkowicza nieustannie obecny jest także duch Kresów Rzeczypospolitej. Nawet wtedy, kiedy autor kpił sobie z tamtych odległych czasów i podkreślał ich anachroniczność, ten duch nie tylko nic nie tracił ze swej siły, ale przeciwnie - wzmacniał się i utrwalał. Wańkowicz do końca pozostał pisarzem kresowym. Stąd przecież, z tej tradycji i szlacheckiej przeszłości brała się jego wiara i podziw dla wszystkiego, co rwie się do życia. Pisarstwo Wańkowicza jest bardzo związane z żywiołem natury, jego bohater jest jej częścią i musi w niej znaleźć swoje miejsce. Dlatego proza Wańkowicza pulsuje niczym żywy krwioobieg, nie ma w niej niepotrzebnych dłużyzn i zbędnych fragmentów.

W 1964 Wańkowicz podpisał słynny „List 34”, adresowany do ówczesnych władz peerelu i zawierający protest przeciwko polityce kulturalnej państwa. Po tym fakcie władze rozpoczęły nagonkę na pisarza. Oskarżono go o to, że przekazuje za granicę materiały godzące w Polskę i współpracuje z Radiem Wolna Europa. Wańkowiczowi wytoczono proces i skazano go na trzy lata więzienia. Wańkowicz w areszcie spędził pięć tygodni. Władze chciały, aby pisarz zwrócił się z prośbą o ułaskawienie. Kiedy tak się nie stało, wstrzymano wykonanie wyroku. Wańkowicz ostatecznie do więzienia nie poszedł.

W 1970 Wańkowicz, po kilku latach starań, odzyskał polskie obywatelstwo. Przywrócono mu także członkostwo Polskiego PEN Clubu.

Melchior Wańkowicz zmarł w Warszawie 10 września 1974.

Pochowany został na Powązkach.

Twórczość (wybrane pozycje książkowe, pierwsze wydania):

- ◆ „Strzępy epopei. Opowiadania”, Warszawa 1923
- ◆ „Szczeniące lata”, Warszawa 1934
- ◆ „Na tropach Smętka”, reportaże z Warmii i Mazur, Warszawa 1936
- ◆ „Te pierwsze walki” (według opowiadania por. Jerzego Lewandowicza; pod pseudonimem Jerzy Łużyc), Bukareszt 1940
- ◆ „Dzieje rodziny Korzeniewskich”, Florencja 1945
- ◆ „Bitwa o Monte Cassino”, t.1-3, Rzym 1945-47 (ocenzurowane wyd. krajowe 1957)
- ◆ „Kundlizm”, felietony, Rzym 1947
- ◆ „Ziele na kraterze”, powieść autobiograficzna, Nowy Jork 1951 (wyd. krajowe 1957)
- ◆ „Panorama losu polskiego”, cykl powieściowy, cz.1 „Tworzywo”, Nowy Jork 1954, cz. 2, „Droga do Urzędowa”, Nowy Jork 1955 (wyd. krajowe „Tworzywo” 1960)
- ◆ „Westerplatte”, Warszawa 1959
- ◆ „Hubalczycy”, Warszawa 1959
- ◆ „Tędy i owędy”, reportaże i felietony, Warszawa 1961
- ◆ „Zupa na gwoździu”, felietony, Warszawa 1967
- ◆ „Od Stołpców po Kair”, reportaż, Warszawa 1969
- ◆ „Przez cztery klimaty 1912-1972”, Warszawa 1972

Autor: Wojciech Kaliszewski, grudzień 2007

Ostatni polski mistrz szlacheckiej gawędy, klasyk reportażu, autor takich książek jak „Monte Cassino”, „Hubalczycy”, „Ziele na kraterze” – Melchior Wańkowicz – zmarł 35 lat temu, 10 września 1974 roku.



*Melchior Wańkowicz korespondent wojenny II Korpusu Polskiego, 18 maja 1944
/źródło: Melchior Wańkowicz (1957), Monte Cassino, 6, Warszawa: Wydawnictwo
Monisterstwa Obrony Narodowej. no ISBN/.*

Melchior Wańkowicz już w latach 20. mawiał o sobie, że jest reliktem cywilizacji, która przeminęła. Miał na myśli świat ziemiańskich dworów polskich na Kresach. Przyszedł na świat 10 stycznia 1892 w rodzinnym majątku Kałużyce położonym nieopodal Mińska na Białorusi. Imię dostał po ojcu, powstańcu styczniowym, który zmarł w roku urodzenia się syna. Matka, Maria ze Szwoynickich, zmarła trzy lata później. Przyszły pisarz wychowywał się na Kowieńszczyźnie w majątku babki. Ten czas, wczesnego dzieciństwa, odtworzył potem w jednej z najpiękniejszych w polskiej literaturze opowieści o schyłku ziemiańskiego życia, pt. „Szczeniące lata”, która ukazała się w 1934 roku.

Wańkowicz studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1914 został powołany do wojska rosyjskiego, skąd udało mu się zwolnić na podstawie sfałszowanego świadectwa zdrowia. W latach I wojny światowej był pełnomocnikiem Centralnego Komitetu

Obywatelskiego Królestwa Polskiego do ewakuacji Polaków z terenów Rosji. W czasie wojny – w 1916 roku – Wańkowicz ożenił się z Zofią z Małagowskich, koleżanką z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Niedługo po ślubie wstąpił do Pierwszego Korpusu Polskiego gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego, formowanego w rejonie Mohylewa. Na początku 1918 Wańkowicz jako żołnierz Korpusu walczył z bolszewikami, a za udział w walkach został odznaczony Krzyżem Walecznych. W maju 1918 brał udział w buncie przeciwko zawarciu porozumienia z Niemcami. Postawiony przed sądem polowym, został uniewinniony. Swoje przeżycia opisał w „Strzępkach epopei”.

Po wojnie 1920 roku Wańkowicz kontynuował w Warszawie przerwane studia prawnicze, ukończył je w 1923 roku i rozpoczął pracę na stanowisku naczelnika Wydziału Prasowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Rok później, w 1924 założył Towarzystwo Wydawnicze Rój, którego był współwłaścicielem i redaktorem naczelnym aż do 1939 roku. Rój publikował m.in. Tuwima, Gombrowicza, Parnickiego, tam „Ładem serca” debiutował Jerzy Andrzejewski, tam wreszcie ukazały się pierwsze wydania „Sklepów cynamonowych” i „Sanatorium pod klepsydrą” Bruno Schulza.

W okresie międzywojennym Wańkowicz poświęcił się pracy dziennikarskiej i literackiej, publikując między innymi w „Kurierze Warszawskim”, „Wiadomościach Literackich” i „Kurierze Porannym”. Był między innymi doradcą reklamowym Związku Cukrowników Polskich i to on właśnie wymyślił słynne hasło: „Cukier krzepi”. „Dostałem, jak przypuszczam, najwyższe honorarium na świecie za dwa słowa, «Cukier krzepi» – 5000 zł przedwojennych, czyli na ówczas 500 przedwojennych dolarów za słowo. Tak cenne mogą być słowa” – opowiadał pisarz Krzysztofowi Kąkolewskiemu w wywiadzie „Wańkowicz krzepi”. Pisarz zwyciężył też 50 lat później w konkursie na hasło reklamowe LOT-u: „LOT em bliżej”.

Przez ostatnie lata przedwojenne pisarz wraz z rodziną – żoną i dwiema córkami, Krysią i Martą – mieszkał w Warszawie na Żoliborzu, w słynnym „Domeczku” przy ulicy Dziennikarskiej, o którym wzruszająco pisał w „Zielu na kraterze”. Przed wojną największe powodzenie miał tom „Na tropach Smętka” – reportaż z podróży kajakowej po Prusach Wschodnich. Wańkowicz pokazywał ścieranie się żywiołu polskiego i niemieckiego na tych terenach, toczącą się tam walkę o polską tożsamość obywateli.

Był mistrzem opowieści reportażowej, w której fakty łączył z elementami fikcji fabularnej. Posługiwał się barwną polszczyzną wyrosłą z tradycji gawędy szlacheckiej. „Mnie interesuje prawda syntetyczna, a nie dokumentalna, z każdego losu biorę, co w nim jest szczególnego, to wyjątkowe, gęste, mocne inaczej byłoby to szare, nijakie” – powiedział w wywiadzie „Wańkowicz krzepi”.

W chwili wybuchu II wojny światowej Wańkowicz wyjechał do Rumunii, a latem 1940 roku przedostał się na południe Europy, przebywał na Cyprze, potem w Palestynie. Od 1943 był korespondentem wojennym 2 Korpusu Wojska Polskiego, podróżował po Bliskim Wschodzie. W maju 1944 uczestniczył w bitwie pod Monte Cassino, za co odznaczony został Krzyżem Walecznych. Po wojnie pisarz zamieszkał w Londynie. Uznał, że do Polski nie ma po co wracać – jego starsza córka Krysią, żołnierz „Parasola”, zginęła w Powstaniu Warszawskim, żoliborski „Domeczek” został zburzony. W Londynie współpracował m.in. z „Wiadomościami” oraz z „Dziennikiem Polskim”. Zaraz po wojnie Wańkowicz zaczął

pracować nad swoją największą i najbardziej znaczącą książką, która rozrosła się do trzech tomów ukazujących się kolejno w latach 1945-47 w Rzymie, pod tytułem „Bitwa o Monte Cassino”. W 1949 r. Wańkowicz przeniósł się do Stanów Zjednoczonych, gdzie osiadła jego druga córka – Marta. Pisarz nie odnalazł się jednak w amerykańskiej rzeczywistości, w maju 1958 roku powrócił do Polski.

W 1964 Wańkowicz podpisał „List 34”, adresowany do ówczesnych władz PRL i zawierający protest przeciwko polityce kulturalnej państwa. Władze rozpoczęły nagonkę na pisarza. Oskarżono go o to, że przekazuje za granicę materiały godzące w Polskę i współpracuje z Radiem Wolna Europa. Wańkowiczowi wytoczono proces i skazano go na trzy lata więzienia. W procesie przeciwko pisarzowi zeznawał Kazimierz Koźniewski, niegdyś narzeczony córki Wańkowicza, wieloletni przyjaciel domu i, jak się okazało, współpracownik UB. Wańkowicz w areszcie spędził pięć tygodni. Władze chciały, aby pisarz zwrócił się z prośbą o ułaskawienie. Kiedy tak się nie stało, wstrzymano wykonanie wyroku ze względu na wiek i stan zdrowia aresztanta. Dopiero w 1990 r. Sąd Najwyższy uchylił wyrok i pośmiertnie uniewinnił Wańkowicza.

Melchior Wańkowicz zmarł w Warszawie 10 września 1974 r. w wieku 82 lat. Do końca był niepokorny. Władze zaproponowały jego córce Marcie Erdman pochowanie ojca na koszt państwa. Ta jednak odmówiła, zgodnie z wolą pisarza, który przed śmiercią powiedział: „Nie życzę sobie, by oni fotografowali się nad moją trumną”. Pisarz pochowany został na Powązkach.

W tym roku wydawnictwo Prószyński i S-ka wydaje 16-tomową edycję Dzieł Zebranych Wańkowicza.

abe/ jbr/ bsz